PIĄTY ROK WYDAWNICTWA

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 sierpnia 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
51 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

ZOFJA SOLARZOWA

LUDZIE Z CHŁOPSKIEGO UNIWERSYTETU

KAROLA*)

Ludzie dalecy mówią o niej: „Zdolna dziewczyna, mądra, dobra. Ale cóż, kiedy bez tego kochania obejść się nie może". Tak mówią, a jeszcze więcej na ucho jeden drugiemu (częściej jedna drugiej) szepcą. Zdaniem opinji wsiowej, nie jest to dziewczyna „porządna". Nie.

Bliżsi zaś, koledzy, koleżanki, mocniej jeszcze podkreślają jej zdolności i rzadkie przymioty serca i rozumu, słabiej i mniej gorszą się, ale... do roboty jej i roli społecznej nie mają zaufania. Bo sąd chłopski twardy jest. Co nieuznane, co niejasne, co do pojęcia trudne, odmienne od utartego gościńca, to nieubłaganie odsuwa się często precz, odsądza od rzeczy godnych i słusznych.

Sama o sobie myśli rozmaicie. Ulega często sądom opinji i kaja się. Ale najczęściej buntuje się, cieszy życiem swojem i szczodrze rozrzuca wkoło siebie uczynność, pogodę, przyjaźń.

Młodziutka była bardzo, kiedy zabrano ją do miasteczka. U oficjalisty hrabiego była niańką. Prędko podpatrzyła życie miastowe, sposób bycia, ubierania się, mówienia. Jednocześnie jednak z powierzchowną ogładą zdobywała wiedzę cenną o życiu głębszem, ludzkiem i wtedy już czytała dużo, jeszcze więcej myślała i przedewszystkiem szukała. Już szukała. Bo właściwie całe jej życie to szukanie: czegoś, kogoś, siebie samej, Boga, prawdy i... miłości.

Musiała wracać na wieś. Chowała się dotąd u babki. Matka, owdowiała w czasie wojny, podzieliła się dziećmi: sobie zostawiła synów. Matka więc nie odegrała w tych latach żadnej roli w życiu córki.

We wsi wciągnięto ją do Koła Młodzieży. Przedewszystkiem do teatru. Okazało się, że ma nie tylko zdolności do grania, ale wybitny talent dramatyczny. Wygrywała — siebie: w „Chacie za wsią", w „Zaczarowanem kole", w „Turoniu", w „Zbójcach", w „Kordjanie i chamie" i w wielu innych sztukach tęgich, odważnie grywanych przez Koło.

A jednocześnie zaczynał się pierwszy akt dramatu jej dziewczęcego życia. Wykształcony, poważny człowiek wszedł w jej zupełnie wiośniane jeszcze życie. Poprostu żył z nią.

Godziła się na wszystko. Bez obliczeń, bez spekulacji, bez rozsądku ducha. Była zakochana. To jej wystarczało. Była pewna, że ten człowiek jest już jej mężem, iż jeszcze tylko należy jakieś formalności wypełnić.

Ale on umiał liczyć. Był zdrowo myślący, dobrze odżywiony i bardzo rozważny. Do czasu — bardzo kochał. Opiekował się. Woził po miastach, po szpitalach... Z troski o nią, rzekomo. Aż ożenił się. Porządnie. Jak należało. Z solidną i solidnie zarabiającą nauczycielką.

Cóż to dziwnego? Co nowego? Codzień, co godzina ktoś tak samo czyni w świecie i świat ten nie zatrzymuje się w biegu.

Ale ona nie była „porządna" dziewczyna. Wcześnie rozbudzona kobiecość, gorący, cygański temperament, uroda nieprzeciętna i zupełna samotność stały się groźbą poważną.

I przyszły złe lata. Zmieniali się „narzeczeni" (bo na wsi tylko z narzeczonym wolno) i zostawiali po sobie wiele łez, wiele radości, wiele niekłamanej rozkoszy.

Przyszła gryząca rozterka: każdy z nich był szczerze kochany, każdy odchodził bogatszy w ludzkie, nieprzeciętne przeżycia, żaden nie niósł do ludzi złego o niej słowa, ale ta ich mnogość, ta ciągła nuta doraźności budziła w niej właśnie tęsknotę do jednego uczucia, do jednego człowieka.

I przyszedł.

Została słuchaczką Uniwersytetu w Gaci.

Wrażliwa, inteligentna — szybko wchłaniała to co istotne, stała się już nie członkiem rodziny uniwersyteckiej i szerszej, wiciowej, i jeszcze szerszej, ludzkiej; stała się wyznawczynią i bojownikiem sprawy. A najważniejsze było to, że nikt jej tam nie pytał, jak żyła, nikt nie sądził. Pozwolono jej odnaleźć siebie samą. Pokazano to wszystko, co ludzkie i boże, i sama uczyniła selekcję w życiu swojem.

Sprostowała się. Zaczęła pełnią życia — żyć! W uniwersyteckiej rodzinie był właśnie on. Człowiek wielkiego rozumu i wielkiego serca. W gromadzie ceniony. Przez nią uwielbiany. Nie zważał na ludzkie szepty. Stłumił je swoją pewną wobec niej postawą, narzucił ludziom inne myślenie o niej.

To już miał być ten. Ten jedyny.

Chłonęła jego słowa i prawdy. Uzgadniała z własnemi. Była teraz promienna, dziewczęca, czysta. Przygarnęła się jeszcze mocniej do gromady, do spraw wielkich, społecznych. Już tak miało być zawsze.

Kiedy patrzało się na nią, grającą tesraz sugestywnie i mistrzowsko w „Przepióreczce", w „Proboszczu wśród bogaczy", w „Chłopach", czuło się ze wzruszeniem obecność wielkiej, żywej sztuki.

Miało tak już być.

Ale nie było. Odszedł.

Dziwnemi, nieznanemi drogami odszedł. Tam poszedł, gdzie jest solidna, pewna, macierzyńska kobiecość. Gdzie nie trzeba kogoś dźwigać i przeciw prądowi z nim iść. W swojej wędrówce poprzez twarde, gromadzkie sprawy, do wielkich, społecznych przemian, znalazł cichą, jasną towarzyszkę.

Może bojownicy tak muszą? Może nie mogą tracić sił na trudne, osobiste sprawy?

Nie załamała się.

Z pasją oddała się społecznej robocie. W mocnem powiązaniu z Uniwersytetem. Znalazła słodycz w obcowaniu z matką. W kołach, na kursach, wybiła się na dzielną prelegentkę i działaczkę.

A przecież musiała przełamać w sobie to co najcięższe: głupią nadzieję jego powrotu i otępienie na widok tej głowy ukochanej: na zjazdach, na wędrówkach. I żal do niego.

Trzeba było w siebie wbić, wciosać wiarę w niego, pomimo to... pomimo wszystko. Uczyniła to. Nigdy — słowa żalu. Nigdy wątpliwości co do jego wielkości i wartości. „Tak musiało być". „Nie byłam godna". „Żeby go tylko ona kochała tak, jak ja kochałam".

Jeździ od wsi do wsi, zespala ludzi, umacnia, porywa. Przez teatr, przez gawędy, przez pomoc w organizowaniu prac i nowych placówek.

W Uniwersytecie wygada się, wyzwierza. Na zjazdach, na wykładach i w życiu uniwersytetu czerpie zawsze nowe siły i pnie się odważnie na szczyty coraz trudniejszych spraw, uczuć, pojęć.

A oczy jej jak dawniej ogromne, czarne, pełne ognia i słodyczy, szukają wkoło, szukają.

Coraz częściej marzy o dziecku. O własnem dziecku. Coraz częściej i bliżej gwarzy z matką o życiu. Coraz wyraźniej rozumie, że życie jest tak trudne i ciężkie, że podołać mu może tylko ten, kto zdobędzie się na wielkość wyrozumienia i miłości.

*) Por. poprzedni numer „Sygnałów".

„SWOK"**)

Rodzice mają ich dwoje tylko: jego i siostrę młodszą. Gospodarstwo spore, rodzice — ludowcy chcieli syna kształcić. Zaczął chodzić do gimnazjum. Ale tylko zaczął. Jakoś nie dało się.

Żeby nie zostawić tak chłopaka bez niczego, bez „światła", jak to się u nas mówi, posłał go, raczej powiózł ojciec do Uniwersytetu Ludowego.

Jedynak był, przez rodziców strzeżony i pieszczony. Śmiali się koledzy z niego, kiedy ojca odprowadzał za bramę i popłakiwał. Ot, młodziak jeszcze. Jak wszyscy. Myśleniem się wyróżniał. Samodziel, nem, systematycznem zgłębiającem rzecz każdą. Do rodziny wielkiej przystał łatwo, zżył się, związał. Został i po kursie. Prowadził „kancelarję" zakładu.

Ale już nabrzmiewać zaczął wrzód na jego myślach, rósł i pęczniał. I nagle postanowił: Na studja! Ojciec nie mógł na te studja dać. No, to nie! — I poszedł.

Zamiatał izby i korytarze Wszechnicy. Nosił wodę, szorował, czyścił, drzwi otwierał. Dobrze było.

Nieraz ze szczotką się jeszcze ugania, a tu już profesorowie na wykłady. Witają go grzecznie, rękę podają. Lubią go, cenią.

Po pierwszych egzaminach wiezie świadectwa do domu, po drodze do „chrzestnych" z Uniwersytetu wstępuje.

Siadają z „chrzestnym" na ławie. Podaje „chrzestnemu" papierki z oceną: Celująco... celująco... celująco...

No, no. Skąd aż tak? Wszyscy pociągają nosami, szczęśliwi i wzruszeni.

Bo pomyślcie. Bez tej średniej szkoły sam sobie zdobywa naukę. Profesorowie powiedzieli, że bardziej bezpośrednio, żywo, syntetycznie bierze wiedzę od tych, co przez średnie szkoły przeszli. A no — szczęść Boże dalej! —

Jeden rok minął, drugi, trzeci, nauka do końca dobiega. Ta nauka do egzaminów, na świadectwo. Bo pozatem uczy się chłopak sam. I z książek i na wakacjach w chałupie i w gromadzie wiciowej. Uczy się, chce wiedzieć, rozumieć i potem znowu innym w rozumieniu pomagać. Uczy się historji, sprawy ustrojów, kultur są mu najbliższe. I one są drogą do budzenia społecznego myślenia w Uniwersytecie Ludowym. Tam chce iść. Być wychowawcą, przyjacielem nowych, młodszych kolegów. Sam był słuchaczem i sam doznał wpływu tego życia, sam teraz zdobywa wiedzę, jaka tam potrzebna.

Tam starzy wychowawcy czekają. Przyjdzie, pomoże im, a kiedyś, kiedyś, kto wie...

W otwartem oknie pelargonje czerwone, żywe, świeże. Daleki, rozległy widok. Widać stąd kawał świata, ponad wsią. Oczy biegną coraz dalej, aż tam, gdzie przecież już nic nie widać. Bo aż do Łętkowic. Do rodziców.

W ręce list od nich. Żeby przyjechał na żniwa, bo ojciec już sam nie może. Trzeba jechać. Słuchaczki właśnie na żniwa się rozjechały, na Górce pusto, cicho.

Jak dobrze będzie pójść z kosą, jak każdego lata, w pole. Po długich miesiącach wysiłku myśli, przy wykładach w Uniwersytecie, przy referatach w okolicznych kołach Stronnictwa Ludowego i „Wici".

Ręce same wyciągają się do kosy i zdaje się, że żyto chrzęści i pachnie gorącem — na tem ojcowem polu.

**) Wykładowca w Wiejskim Uniwersytecie Orkanowym.

RELKA I WŁADEK

Trzeba o nich obojgu coś powiedzieć.

Są wiciowem, gackiem małżeństwem. Ludzie mówią: wzorowem małżeństwem. Dla nas, którzy widzimy ich codzienne życie tuż obok Uniwersytetu, są rzeczywiście przykładem na osiągnięcie wszelkich możliwości w życiu osobistem i społecznem.

Ona, oddana ze wsi do szkół, skończyła sześcioklasowe gimnazjum i była słuchaczką Uniwersytetu Ludowego, do którego przyszła już ugruntowana w przekonaniach i drogach społecznych przez „Wici". Od nas wyjechała do Danji, gdzie przeszła również kurs uniwersytetu ludowego i kurs gimnastyki Bukka. Potem jeszcze kończy uniwersytet ludowy w Pradze czeskiej. Nie była nigdy organizatorką zdolną, niewiele przemawiała, ograniczała się do roli zwykłego, wzorowego członka gromady. Wyróżniała się zato w subtelnem, artystycznem odtwarzaniu inscenizowanych na kursie pieśni i sztuk. Różnie jej się w życiu trafiało. Zamożni, kształceni ludzie chcieli ją za żonę. Uparła się, że wyjdzie zamąż za gospodarza, na zwykłą, chłopską dolę.

Kiedy się z nim spotkała na wycieczce Uniwersytetu do Poznania, na Targi, to już wiedzieli oboje, że do siebie należeć będą.

On dawniej z Uniwersytetu wyszedł. Chłopak o niezwykłej kulturze i żelaznej woli.

Po kilku latach, w których pracowali oboje społecznie, on zaś z ojcem gospodarzył, pobrali się.

Przyszła na kilkomorgową gospodarkę, w obce już prawie środowisko wsi i to bardzo innej wsi od tej, w której dotąd bywała. Przyszła do ciężkiej pracy.

W podmiejskiej, zacofanej gromadzie, wśród nieufnych, chytrych ludzi, ciężkie były pierwsze lata. Przyszły też w każdem małżeństwie zwyczajne tarcia i niezgodności.

Czuła, że mąż niecierpliwi się jej niezaradnością, jej odmiennym sposobem życia. Miewała chwile tragicznych zwątpień i załamań. Postanowiła zdobyć uznanie męża. Nauczyła się ciężkiej pracy, dostosowała się do środowiska w tem wszystkiem, co uznała za słuszne albo nieszkodliwe.

Siłę znajdowała w sobie, w szacunku dla męża, w miłości do córki i w Uniwersytecie, z którym oboje związani byli najszczerszą przyjaźnią.

I zdobyła: uznanie męża, otoczenia i równowagę własnej duszy.

Dziś dom ich krzepi nas niejednokrotnie. Są naszymi najserdeczniejszymi towarzyszami w trudnem życiu. Kiedy słyszymy z jej ust takie słowa: „Gdyby nie Uniwersytet, nie dałabym rady w trudnych swoich zadaniach" — albo: „Lepszy dla mnie suchy kawałek chleba w Uniwersytecie, niźli dostatki u ludzi" — jesteśmy silniejsi i szczęśliwsi.

U nich w domu od świtu do zmierzchu przewalają się ludzkie biedy. Przed wschodem słońca czasem, zanim on pójdzie do pracy w kasie i mleczarni, przychodzą wszyscy potrzebujący porady. Jest jedynym we wsi a nawet w najbliższej okolicy doradcą w sprawach osobistych i społecznych. Solidność i niezmordowana praca bezinteresowna ugruntowały mu zaufanie ludzi.

Ona ośmiela się coraz bardziej, nawet do publicznych wystąpień. Pracuje w Kole Kobiet, w dziecińcu. Z Uniwersytetem oboje żywo współpracują.

JÓZEF LUBOJAŃSKI

BISMARCK A POLSKA

Prawdziwą przysługę oddali Polsce prof. Józef Feldman i ruchliwy Instytut Śląski, rzucając na rynek księgarski obszerne studjum historyczne: „Bismarck a Polska“.*) Jakkolwiek autor w przedmowie skromnie odżegnywa się od tendencji i na czterystu stronach dzieła ani razu historyk nie zamienia pióra z politykiem, to niewątpliwie książka przez sam fakt ukazania się w chwili obecnej musi i powinna mocno zaważyć na opinji polskiego społeczeństwa o aktualnych stosunkach polsko-niemieckich. Częsty to los historyków, że ich dzieła mimo woli autorów stają się bronią w walce politycznej. Jest to objaw dobry, objaw politycznego zdrowia i dojrzałości. Politykę, a zwłaszcza politykę zagraniczną lepiej uzasadniać historją, niż „filozofją“, której tak dużo znajdujemy w rzadkich wynurzeniach aktualnego kierownika naszej polityki zagranicznej. Twarde i nieubłagane są prawa geografji i historji. Nie można, nie wolno ich lekceważyć. Prof. Feldman na wielu stronicach swego dzieła wykazuje, jak kruche i jak małoznaczne w perspektywie historycznej były wszystkie próby ułożenia stosunków polsko-niemieckich wbrew geografji i historji.

Prof. Feldman głównego źródła antagonizmu polsko-niemieckiego („pod względem trwałości i napięcia antagonizmu stosunek polsko-pruski jest zjawiskiem nie mającym sobie równego w historji“) doszukuje się nie w różnicach rasowych, narodowych, wyznaniowych czy ustrojowych, choć niewątpliwie wszystkie te elementy wyryły swoje piętno na treści antagonizmu polsko-niemieckiego. „Źródła antagonizmu polsko-pruskiego“ — pisze prof. Feldman — „przyjdzie zatem szukać nie tylko w kontrastach ustroju i psychiki obu krajów, nie w samych różnicach wyznaniowych i tarciach narodowych. Była nim zasadnicza sprzeczność interesów, powstała na podłożu ukształtowania terytorjalnego obu państw“.

Wobec pojawienia się w t. zw. partji gotajskiej nieśmiałych projektów wskrzeszenia Polski, Bismarck pisze w najwyższem oburzeniu: „Panowie ci nie znają Polaków i nie wiedzą, że niepodległa Polska wtedy dopiero przestanie być wrogiem Prus, gdy dla jej wyposażenia wyrzekniemy się krajów, bez których znowu nie możemy istnieć, jak dolny bieg Wisły, całe Poznańskie i wszystko, co na Śląsku mówi po polsku. A nawet wówczas w żadnym kłopocie nie bylibyśmy pewni pokoju z nimi“. Pomorze (Gdańsk), Poznańskie i Śląsk — oto podłoże polsko-niemieckiego antagonizmu.

Trudno obronić się przed aktualnemi refleksjami. Gdańsk! Bismarck lepiej od niektórych polityków polskich rozumiał, gdzie leży kamień węgielny niepodległej Polski. Najfatalniejszym błędem polskiej polityki zagranicznej jest to, że pod osłoną Traktatu Wersalskiego i Ligi Narodów nie umieliśmy mocną stopą stanąć w Gdańsku; kto wie, czy nie bezpowrotnie straciliśmy sposobność odrobienia wielkich błędów historycznych Polski przedrozbiorowej. Gdynia nawet najsilniejsza pozostanie zawsze namiastką Gdańska. Ujście Wisły i Gdańsk — oto nasza naturalna droga do Bałtyku. Zaprzepaszczenie Gdańska to błąd, zaś błąd w polityce zagranicznej to więcej niż błąd, to zbrodnia. Po wielkich a nierealnych planach „bloku neutralnego“ pozostaną kronikarskie wzmianki, Gdańsk natomiast będzie niemiecki. Jakąż politykę bałtycką może prowadzić Polska bez Gdańska?

Ulubionym argumentem apologetów min. Becka jest pogląd, że antagonizm polsko-pruski stracił swoją siłę fatalną, odkąd na zachodnich granicach naszego narodu i państwa wyrosła Rzesza Niemiecka w miejsce Królestwa Pruskiego. Jeśli chodzi o okres przed wojną, to argument ten nie wytrzymuje krytyki. Polityka antypolska Bismarcka po roku 1871 nie uległa najdrobniejszej zmianie, pozostała także dogmatem dla jego następców. Pruska racja stanu nazywała się odtąd niemiecką racją stanu, nie zmieniwszy zupełnie swojej treści. A w Trzeciej Rzeszy? Hitler jako typ polityka odbiega niewątpliwie poważnie od Bismarcka. Bismarck — polityk był typem stokroć bardziej zrównoważonym i zdrowym, niż nerwowy i fanatyczny Führer. Bismarck z przedziwną jasnością i konsekwencją uosabiał moce i tendencje historyczne swego kraju. Zawcześnie dziś formułować wnioski, jak daleko polityka zagraniczna Hitlera odbiega od tradycji pruskiej i bismarckowskiej racji stanu. Nie można jednak pominąć tu ewolucji, jaką stopniowo odbywa Hitler, od fanatycznego wodza, rządzonego imperatywem ideologji, do kanclerza Niemiec, kierującego się niemiecką racją stanu, a ta — dopóki Niemcy nie wyrzekną się ambicji odgrywania przodującej roli w Europie i świecie, — pozostanie pruską racją stanu. Nie zapominajmy i o tem, że pod skrzydłami Hitlera potężnieje siła, która jest uosobieniem pruskiej racji stanu — Reichswehra. Polityka hitlerowska po zniszczeniu traktatów pokojowych weszła w okres „zbierania ziem niemieckich“. Austrja już znalazła się w granicach Rzeczy. Dziś przedmiotem ataków niemieckich stały się Sudety. Wszystko wskazuje na to, że etapem następnym będzie Gdańsk.

Trzeba naprawdę być głupcem lub ślepym, by nie rozumieć, że potem przyjdzie kolej na Pomorze, Poznańskie i Śląsk. Niemcy zawsze posługiwali się argumentem, że Poznań leży zbyt blisko Berlina, by mógł się znajdować w rękach polskich. Odległość między Poznaniem a Berlinem od czasów Bismarcka nie zwiększyła się. Zacznie się okres realizowania zasadniczych celów ekspansji imperjalistycznych Niemiec. Nie mamy powodu nie wierzyć Hitlerowi, a przedewszystkiem historji niemieckiej, gdy powiada, że te cele leżą na wschodzie.

Ale wróćmy do Bismarcka, postaci, która, jak pisze prof. Feldman „nie bez racji utrwaliła się w umyśle polskim jako ucieleśnienie wszystkich ciemnych mocy, sprzysiężonych na zgubę polskości“. Prof. Feldman prostuje niektóre zbyt uproszczone poglądy na politykę antypolską Bismarcka. Coprawda zniszczenie polskości wewnątrz Rzeszy oraz udaremnienie wszystkich wysiłków, skądkolwiekby one pochodziły, zmierzających do odbudowania państwa polskiego, pozostały niezmiennie głównemi wytycznemi jego polityki wobec Polaków, ale w granicach tych zasad wielki kanclerz umiał rozwinąć cały wachlarz sposobów ujmowania sprawy polskiej. W przeciwieństwie do późniejszej polityki hakatystycznej, która zwracała się jednolicie przeciwko całemu społeczeństwu polskiemu, Bismarck do ostatnich dni swego życia wypowiadał się za faworyzowaniem chłopów polskich przeciwko szlachcie i klerowi, w których widział główną ostoję polskości. Wierzył, że odpowiednia pruska polityka socjalna uczyni z chłopów polskich na zawsze element najściślej zrośnięty z państwem niemieckiem. Bismarck nie wierzył w narodowe przebudzenie się chłopa polskiego. A kiedy pod koniec jego życia zaczęły się mnożyć przejawy narodowego uświadomienia wśród chłopów w Poznańskiem i na Śląsku, było to dla niego źródłem głębokiego rozczarowania. Bismarck z prawdziwym fanatyzmem zwalczał wszelkie próby wskrzeszenia niepodległej Polski. A jednak w pewnych chwilach nieobca mu była myśl, oddawna zresztą pojawiająca się w myślach i planach władców i polityków pruskich, by stworzyć z Polski państwo buforowe między Rosją a Niemcami z którymś z niemieckich książąt na tronie. Wykazanie tej dwutorowości w polityce Bismarcka wobec sprawy polskiej dość poważnie osłabia rozpowszechnione poglądy na antypolską politykę twórcy cesarstwa niemieckiego. Sprawa polska — taka jest ostateczna konkluzja wnikliwych wywodów prof. Feldmana — w całej polityce Bismarcka odegrała rolę przeciwnoplanową, a decydująco zaważyła na stosunkach niemiecko-rosyjskich. Bismarck, jak nikt przed nim i mało kto po nim, rozumiał, że wojna między państwami zaborczemi musi wynieść na widownię państwo polskie, w którem widział śmiertelnego wroga swego kraju. Stąd jego niekiedy wprost rozpaczliwe wysiłki, zmierzające do utrzymania rozłażącego się „Świętego Przymierza“, w pierwszym zaś rzędzie utrzymania dobrych stosunków między Moskwą i Berlinem.

Książka prof Feldmana, pisana piękną i jasną polszczyzną, odbijającą dodatnio od języka, w którym pisze swoje prace większość naszych historyków, zasługuje na najszersze rozpowszechnienie. Może się przyczynić do oparcia opinji społeczeństwa polskiego o stosunkach polsko-niemieckich na solidnych podstawach historycznych.

Zgłaszam jedno zastrzeżenie. Autor, chcąc wykazać zasadniczą wrogość wszystkich ugrupowań niemieckich wobec sprawy polskiej, usiłuje stanowisko takie przypisać także socjaldemokracji niemieckiej. Autorowi służy w tym celu cytata z jednego z listów Engelsa. Wydaje mi się, że autor posunął się za daleko. Jak najbardziej przychylne stanowisko socjaldemokracji niemieckiej, jak również całego międzynarodowego ruchu socjalistycznego z Marxem i Engelsem na czele wobec sprawy polskiej zostało już nieraz w oparciu o źródła wykazane i jest zbyt powszechnie znane, by trzeba je jeszcze raz udowadniać.

*) **Józef Feldman. Bismarck a Polska.** Katowice, Instytut Śląski, 1938; str. 456 i 6 nl.

Dom ich jest ciepły, przytulny, cichy, a jednak pełen ludzi, spraw, niepokojów.

On siedział długo w więzieniu. Po strajku. Żona nawet w oczach policji miejscowej była czynnikiem pobudzającym go do nieustępliwości

Trudno wyrazić piórem ogrom spraw i sposób życia w tym domu nowej chłopskiej rodziny.

Długie, ciekawe i serdeczne listy przebiegają też przestrzeń między ich domem a Danją.

Bo z kierownikiem uniwersytetu „Danebod“ i z jego żoną zawiązał się również stosunek — najbliższy. Relka marzy o tej chwili, kiedy wybiorą się oni do Polski i odwiedzą ją, a potem Gać. Chciałaby tamtych i tych kochanych ludzi powiązać mocną więźbą wspólnej idei. Chciałaby pokazać im swój skromny, jakże nie „duński“ jeszcze dom i nadewszystko córę i męża, z którego jest dumna. Bo choć zjeździła kawał świata, a w Danji i w Czechach zetknęła się z wysokim poziomem kultury życia i mieszkania, to jednak nie wstydzi się Polski. Wie, że w życiu naszej wsi jest coś, czego pozazdroszczą jej duńscy goście. Wie, że tylko małoduszni ludzie chodnikami, ustępami, chustkami do nosa i froterowaną podłogą pragną czemprędzej przysłonić to, co ważniejsze, co najważniejsze: swoistą, dążącą, zbuntowaną i tęskniącą, głęboko twórczą duszę chłopa.

Dlatego, owszem, poprawia się u nich stajnie, dom, gnojownie, ustęp, w miarę możności. Nie robi się jednak z tego sztandarowej sprawy.

To poprostu samo przychodzi. Mówienie o tem w tonie nauczycielskim do ojca, do krewnych wstydziłoby ich. Bo są stokrotnie ważniejsze sprawy. Ale — choć się nie mówi, dzieci sąsiadów już wyglądają inaczej, a wzorowe ich gospodarstwo samo do ludzi mówi.

Żadne z nich nie sądzi, że gdyby ojciec jego nie smarkał nosa w palce, to byłby bardziej godny czci i miłości...

Oboje są skromni. Żadnych osobistych ambicyj. W osobistem życiu chcą szczęścia. Szczęścia, wynikającego z coraz udoskonalonego życia, z wzajemnej ufności i przywiązania.

Dynamicznie, żywiołowo biorą jednak udział w życiu społecznem, w samodzielnym ruchu chłopskim. On prezesuje wielu organizacjom z całem oddaniem sprawie, ona cicho i skromnie pomaga. Ma jednak swój własny świat planów, wysiłków, zdobyczy.

Oboje są wychowankami Uniwersytetu i „Wici“. Są nową, niespotykaną dotąd rodziną chłopską, ludźmi wysokiej klasy, nieprzeciętnej kultury i pogodnej prostoty.

PIOTR

Szkoda, że nie znacie wszyscy Piotra. Napewno śmialibyście się częściej, nie przejmowali głupstwami, a dążyli pracowicie do celu.

To już stare chłopisko. Nie chcę go obrazić, ale chyba ponad czterdziestkę dawno już ma. Jest jednak od nas wszystkich młodszy entuzjazmem, prostotą i sercem.

Był pastuszkiem we dworze. I niewiadomo, jak to się stało, że się wygrzebał do pasterstwa innego — wśród ludzi. Dziś jest wychowawcą, a wychowawstwo i kapłaństwo, to przecież pasterstwo osobliwe, ewangeliczne.

Jest jeszcze jeden związek pomiędzy Piotrem a świętemi sprawami, ten mianowicie, iż jest biedny jak mysz kościelna. Ma kawałek sadu. Ale już domu nawet własnego nie ma. Pensje też miewał różne, od 10 do 25 zł. na miesiąc. Raz miał 300 (naprawdę trzysta) złotych na miesiąc, bo go za instruktora rolnego wzięli, ale prędko poznali się, kto to taki. I koniec. Mimo to trzech synów kształci, a dwoje najmłodszych też pewnie gęsi paść nie będzie.

Skąd bierze na to? Nie wiem. Kto to wie wogóle? Trzebaby spytać pewnie Piotrowej. Jej pooranych rąk, czerwonych, drobnych oczu i przedwcześnie zwiędłej urody.

Kiedyś był Piotr człowiekiem dobrej woli, ale bez wyraźnych, własnych przekonań. Przekonania te zdobył w Uniwersytecie Ludowym. On wykrzesał z duszy Piotrowej ton własny, mocny, trwały. On też związał go z „Wiciami“ i ruchem chłopskim.

Czy stałaby już dziś chałupa Uniwersytetu, gdyby nie Piotr? Napewno nie. On myśl rzucił. On jeździł, latał, napędzał, zagrzewał, zapalał. On często bez snu i jedzenia sprawy tej przypilnowywał. Bo on poto właśnie żyje. Inni niech obliczają, mierzą, uczą, z obłoków na ziemię ściągają, kontrolują. On — rozpłomienia! Plany jego jakże często „uziemiać“ trzeba, ileż razy jego samego za kapotę na ziemię ściągać. Ale od tego są inni.

Pochłaniają go tysiące spraw. O każdej pamięta, każdą do końca doprowadza, z entuzjazmem, wiarą, siłą przekonania. Ludzie szanują go i kochają. Gromada, w którą Piotr „wpadnie“, ożywia się, płomienieje, śpiewa. Ludzie pod jego wpływem godzą się, płaczą, zapominają uraz, no i robią! Robią konkretną, radosną robotę! — Żeby było najciężej, kiedy Piotr przyjdzie i wrzaśnie: „Człowiecze — trzymaj się! Do pioruna, za mną!“ — to ludzie rzucają wszystko i idą.

Długie lata prezesował Związkowi Byłych Wychowanków Uniwersytetu, aż zrzucili go z tego stanowiska młodsi. Poddał się wyrokowi na wesoło i nie przestał być duszą związku.

Rok temu poszedł na studja do Warszawy (chce prowadzić nowy Uniwersytet Ludowy). Czy skończy? Trudno przewidzieć. Nie ma za co. Ale już ten dał mu wiele. Pozostał bowiem prosty i bliski, a w nowem środowisku nowy ruch spowodował.

Syn jego za rok będzie nauczycielem. Piotr wydaje się być bratem swego syna.

Bliską sąsiadką Uniwersytetu jest jego matka — staruszka pobożna i biedna. Matce tej proboszcz miejscowy w czarnych barwach malował życie i przyszłość syna. Podjudzał ją przeciw niemu. Matka jednak powtarzała niezmiennie, że „musi być dobra ta sprawa, której służy Piotruś“.

A on służy jej niestrudzenie. Budował się Uniwersytet? „Ej! Narodzie, trzymaj się!“ — Dopilnował, zrobili. Robiło się spółdzielnię zdrowia: „Do pioruna, za mną“ — i jest. Organizowano pierwszą w Polsce spółdzielnię drzewną? Piotr i tam pilnował, jeździł, piłował, aż stanęła.

A te długie lata w „Wiciach“? A te dni ciężkie strajku i postrajkowe, cięższe jeszcze?

Spraw przeoranych, rzeczy zrobionych, jakże wiele. I do wielu nowych spraw porwie nas jeszcze ten nieorzący i niesiejący boży ptak. Kiedy trudno będzie, kiedy siły osłabną, kiedy nadmiar krzywd przygniecie, wystarczy, jeśli Piotr stanie przed nami, roześmiany, entuzjazmem owiany, i zawoła: „Narodzie — do pioruna, trzymaj się“

*

Oto kilka postaci, naszkicowanych pobieżnie, ręką nienawykłą do pisania. Przez człowieka, który zbyt zbliska patrzy, aby mógł widzieć całość.

Gdybyż mistrzowska dłoń spisała te jasne obrazy i wyobraźnią wiedziona stworzyła wielkie dzieło?

Kilkoro młodych ludzi, na których ledwie promyk światła rzuciłam, to przecież maleńka, bardzo nieznaczna gromadka w tej ogromnej Rodzinie. Wszystko to są ludzie, borykający się dumnie z ciężarem życia. Biorą oni z prostotą zadania siły ich, zdawałoby się, przechodzące i spełniają je bez rozgłosu.

Oni to, nie odrywając się od środowiska, z niem razem, wmieszani w szeregi, często niewidoczni, w życiu gospodarczem, politycznem, społecznem, artystycznem — czynią głębokie przemiany, gruntowane na nieśmiertelnych prawdach.

Zofja Solarzowa

EUGENJA KRASSOWSKA

O TWÓRCZOŚCI BRUNONA SCHULZA

Jeśli, jak chcą niektórzy teoretycy, prototypem powieści jest zbiór nowel, to utwory Br. Schulza zbliżają się do niego, odbiegając daleko od wykształconych w ostatnich stuleciach form tego gatunku.

Oba rozpadają się na szereg luźnych, mniej lub więcej skończonych fragmentów (nowel, opowiadań lub opisów) o różnorodnym charakterze. Brak im jakiejś wspólnej, typowej dla powieści historji fabularnej. Trudno je jednak uważać za zbiory samodzielnych opowiadań. Osoba opowiadającego, jedność terenu, powtarzanie się kilku zasadniczych motywów (ojciec, sklep, dom) nadają cechy pewnej całości nie tylko poszczególnym fragmentom, ale i obu „powieściom".

W rezultacie więc „Sklepy cynamonowe" i „Sanatorjum pod klepsydrą", uzupełniając się wzajemnie, wytwarzają jednolitą, bardzo zresztą specyficzną wizję dzieciństwa lub młodości autora na tle rzeczywistości małego miasteczka. Zarysowuje się w niej wyraźnie kilka nieumiejscowionych czasowo momentów, reszta tonie w mroku.

Ta „pozaczasowość" jest zjawiskiem niezmiernie charakterystycznem dla Schulza. Daremnie sililibyśmy się na ustalenie wzajemnego stosunku czasowego wydarzeń. Każde z nich zawieszone jest niejako w próżni, nie ma przyczyny ani skutku. Nie dowiemy się nigdy, kiedy ojciec wydobył się z „Sanatorjum pod klepsydrą", by odbyć swą ostatnią wędrówkę pod postacią raka, czy też, jak pozbył się postaci karakona, by walczyć z tłumem kupujących w „Noc wielkiego sezonu". Schulz bierze garść wydarzeń i tasuje je jak talję kart. „Pozaczasowość" wynika ze świadomych zamierzeń autora i łączy się z jego najgłębszą postawą artystyczno-metafizyczną. W drugim rozdziale „Sanatorjum" Schulz stwierdza, że „duszą narracji jest ciągłość i sukcesja", ale rezygnuje z niej wobec zdarzeń, „które nie mają swego własnego miejsca w czasie...", „które zostały niejako na lodzie, niezaszeregowane, zawieszone w powietrzu, bezdomne i błędne". Dla nich pozostają „boczne odnogi czasu, trochę nielegalne coprawda i problematyczne".

Zorjentowanie się w charakterze i roli wydarzeń powieściowych Schulza dostarczy klucza do zrozumienia tych teoretycznych metafor i pozwoli dotrzeć do istoty jego postawy twórczej.

Konkretne zdarzenie, fakt nie interesuje autora sam dla siebie jako element jego rzeczywistości powieściowej. Zdarzenie staje się odskocznią w dziedzinę wyobraźni. **Odtworzenie jak najdalszych perspektyw „fantastyczno-wyobraźniowych" dla najbłahszych, codziennych faktów — oto zasadnicza tendencja artystyczna Schulza.**

Dlatego też stare szpargały z prymitywnemi reklamami mogą stać się wymarzoną księgą, cudowną księgą poetyckich wizyj, skromny zaś markownik pozwala zdobywać świat. Forma wspomnień z dzieciństwa pierwszorzędnie ułatwia taką specyficzną deformację, motywuje milcząco wszelkie wybryki wyobraźni autora.

Z tej właśnie postawy twórczej płynie wspomniana już „pozaczasowość". Wszystko u Schulza dzieje się jakby ponad rzeczywistością, a więc nie podlega prawom czasowym. Teraz też zrozumiały staje się fakt, że bohaterem blisko połowy fragmentów jest ojciec, żyjący inną rzeczywistością, a mówiąc językiem naszej rzeczywistości chory psychicznie. Szczególnego sensu nabierze zainteresowanie artystyczne autora dla postaci, obdarzonych jakiemiś niecodziennemi własnościami: Tłuja, Edzio, Dodo, wuj Hieronim, nawet ciotka Pelagja z wybuchem niesamowitej złości.

Przykładów jak zjawiska konkretne przechodzą w ujęciu Schulza w sferę fantastyki dostarczają obie powieści niemało. Wszystkie „dziwactwa" ojca, jego traktaty stają się ucieczką przed szarością i nudą rzeczywistości w dziedzinę poezji. „Był on (ojciec) cudownym młynem, w którego leje sypały się otręby pustych godzin, ażeby w jego trybach zakwitnąć wszystkiemi kolorami i zapachami korzeni Wschodu" („Sklepy cyn.", str. 55). Do granic irracjonalnych wyolbrzymiony zostaje stosunek ojca do sklepu, który „niedocieczony i bez granic stał poza wszystkiem, co się działo, mroczny i uniwersalny".

Bohater innych fragmentów — autor jest bohaterem przygód, zaczynających się w rzeczywistości, a osiągających nieuchwytne perspektywy fantastyczności. Tak powoli zatraca kontury realności jego wędrówka po mieście w poszukiwaniu sklepów cynamonowych i przekształca się stopniowo w jakąś fantastyczną jazdę zamiasto wśród czaru nocy zimowej, pachnącej fiołkami wśród tłumów, zbierających opadające gwiazdy.

Historja z Bianką staje się w rezultacie czystem rojeniem: tajemnicze intrygi dynastyczne, konferencje z Bianką podczas „nocy pozamarginesowych", próba odbicia jej przy pomocy gabinetu figur woskowych. Dawno już jesteśmy poza trzema wymiarami.

Dochodzimy tu do określenia charakteru twórczości Schulza. Określenie „powieść fantastyczna" nie odda istoty rzeczy. Rzeczywistość bowiem jego powieści zbliża się raczej do rzeczywistości powieści realistycznej. Różnica polega na tem, że zostaje ona stopniowo, często niedostrzegalnie przetransponowana na rzeczywistość innego typu. Obie te rzeczywistości: fantastyczna czy irracjonalna i objektywna istnieją niejako obok siebie, przenikając się wzajemnie. **Z tego właśnie przenikania się rodzi się specyficzny charakter utworów Schulza.**

Elementy irracjonalne uzyskały prawo obywatelstwa i w powieści realistycznej, lecz wymagają tam specjalnej motywacji. Są to rojenia, złudzenia, sny, marzenia i t. p. Schulz odrzuca tę motywację, zacierając granicę między fantastyką i realnością. Jego rojenia wiodą w powieściach równie objektywny artystycznie żywot, jak „rzeczywiście istniejący" dom i sklep ojcowski.

Możeby więc najbardziej stosowne dla tej twórczości było określenie **„powieść imaginacyjna".**

Na początku wspominałam, że obu powieściom Schulza brak jednolitej historji fabularnej. W strukturze poszczególnych fragmentów — opowiadań obserwujemy również daleko idącą eliminację elementów fabularnych, a więc wszelkiego „dziania się" na rzecz czystego opisu, charakterystyki i sprawozdania ze zdarzeń, które najczęściej są podane w postaci gotowej, a nie w momencie powstawania i trwania. Brak więc tym powieściom pierwiastka dramatycznego. A jednak w niektórych fragmentach istnieje specyficzny konflikt, który ujawnia się nie zapomocą struktury fabularnej, ale w pointe'ach raczej nowelistycznych. Pamiętamy dobrze, że pogromczynią pełnych polotu i fantazji imprez ojca staje się służąca Adela. Tryumf Adeli stanowi pointę „Ptaków", „Traktatów o manekinach" i „Nocy wielkiego sezonu". Adela znika z kart powieści równocześnie z ostateczną klęską ojca. Nie będzie dalekie od prawdy twierdzenie, że ten subtelny, koronkowo zarysowany konflikt nabiera charakteru symbolicznego: konfliktu wyobraźni, poezji z pospolitą rzeczywistością. Inaczej trudno wyjaśnić rolę Adeli.

W historji Bianki pendant do postaci Adeli stanowi postać Rudolfa, traktującego nieufnie, a nawet pogardliwie fantastyczne rewelacje Józefa, i odnoszącego nad nim w ostatniej chwili zwycięstwo. Taki sam charakter ma konflikt Józefa (opowiadającego) ze Szlomą.

Dochodzimy w ten sposób do wykrycia subtelnego **symbolizmu** „Sanatorjum pod klepsydrą" i „Sklepów cynamonowych". W świetle omówionych konfliktów wzloty w krainę czystej wyobraźni nabierają zabarwienia tragicznego. Tutaj właśnie tkwi swoista dramatyczność „powieści" Schulza. Graniczy ona z groteską, która wyraźnie występuje w odniesieniu do postaci ojca w pointe'ach z Adelą. Miesza więc autor „Sklepów" elementy **tragizmu, wzniosłości i groteski.**

Mimo potencjonalnej dramatyczności czysty opis pozostaje ulubioną formą Schulza. Nawet postaci traktuje jako tematy samodzielnych, statycznych opisów. Najczęściej ukazuje je jednorazowo (ciotka Agata, Karol, Dodo i inni), zapomocą sugestywnej charakterystyki lub portretu, by w następnym fragmencie podjąć inny motyw. Nie łączy ich żadnemi nićmi, umożliwiającemi konsekwencje strukturalne. W rezultacie nie są to czynne figury powieściowe, ale takie same motywy opisowe, jak sklep, dom, przyroda.

Motywy przyrody święcą największy tryumf w opisach Schulza. Różni to jego twórczość od współczesnej powieści, ubogiej w bezinteresowne opisy przyrody (wyjącek stanowią: Dąbrowska, Zarembina, Kurek, Piętak) i konsekwentnie wynika z postawy twórczej autora. Motywy przyrody, specyficznie traktowane, otwierają nie ograniczone możliwości dla jego twórczej fantazji, pozwalają mu rozwinąć całe wirtuozostwo opisu.

Obojętność Schulza dla konkretu odbiła się i na ujęciu tego motywu. Poeta dąży do wydobycia z niego maximum **nastrojowej sugestywności,** osiągając wspaniałe rezultaty. Opisy przyrody należą do najlepszych kart obu powieści. Schulz wydobył całą skalę różnorodnych nastrojów: od szarości jesiennej do czaru nocy lipcowej.

Nie sposób w krótkim artykule zanalizować te bogactwa i różnorodności. Niech cytaty mówią same za siebie. Oto lapidarne, operujące oryginalnemi metaforami opisy dni zimowych: „Nadeszły żółte, pełne nudy dni zimowe. Zrudziałą ziemię przykrywał **„dziurawy, przetarty, za krótki obrus śniegu"** („Sklepy", str. 43). „Dni stwardniały od zimna i nudy jak zeszło**roczne bochenki chleba. Napoczynano je tępemi nożami bez apetytu z leniwą sennością".**

Kontrastują z niemi opisy bogate w określenia i zwroty, sugerujące przepych i rozmach wegetacji letniej: „Wertowaliśmy, **odurzeni światłem** w tej wielkiej księdze wakacyj, której wszystkie karty **pałały od blasku** i miały na dnie **słodki do omdlenia miąższ gruszek"** („Sklepy", str. 7). Jeszcze dwa opisy o całkiem innej tonacji nastrojowej: „...księżyc kulminował coraz bielszy i bielszy, jakgdyby **przelewał swą białość z czary do czary,** coraz wyższy i coraz bardziej magiczny i transcedentalny" („Sanatorjum", str. 44).

Fragment z opisu nocy lipcowej: „Noc lipcowa! Z czemby ją porównać, jak opisać? Czy porównać ją do wnętrza ogromnej, czarnej róży, nakrywającej nas snem stokrotnym tysiąca aksamitnych płatków? Wiatr nocny rozdmuchuje do głębi jej puszystość i na dnie wonnem dosięga nas spojrzenie gwiazd" („Sanatorjum", str. 128).

W powieści typu „Sklepów cynamonowych" i „Sanatorjum pod klepsydrą", czas już na to stwierdzenie, ważniejszą od wizji czy obrazu pewnej rzeczywistości staje się poetycka sugestja samego słowa. **Słowo jest najważniejszym elementem utworów Schulza.** Możnaby zaryzykować twierdzenie, że nie występuje ono tu nigdy w częstej dla powieści funkcji komukatywnej, ale zawsze ma swój ciężar artystyczny. Zbliża to twórczość młodego pisarza do czystej liryki.

Styl Schulza wymaga specjalnego i gruntownego studjum. Tutaj z konieczności ograniczyć się muszę do paru prowizorycznych twierdzeń i cytat.

Najbardziej uderza w nim **metaforyczność,** często zdumiewająca swą oryginalnością i trafnością, równocześnie jednak zawisająca nieraz na pograniczu kunsztu i maniery: „Adela wracała w **świetliste** poranki, jak **Pomona** z **ognia dnia rozżagwionego,** wysypując z koszyka **barwną urodę słońca,** lśniące, pełne wody pod przejrzystą skórką czereśnie, tajemnicze, czarne wiśnie, których woń przekraczała to, co ziszczało się w smaku, morele, w których miąższu złotym był rdzeń długich **popołudni...** wyładowywała... **wodorosty jarzyn niby zabite głowonogi i meduzy** — surowy materjał obiadu jeszcze nieuformowany i jałowy, **wegetatywne i telluryczne ingredjencje obiadu o zapachu dzikim i polnym"** („Sklepy", str. 1—2).

Schulz z jakąś rozrzutnością szafuje wszelkiemi emocjonalnemi odcieniami słowa, przerzucając się z nastroju do nastroju: od sugestywnych, konkretnych, pełnych barw obrazów i wizyj poprzez koloryt szarości do subtelnych, ledwie uchwytnych fantazyj: „Las cały zdawał się iluminować tysiącznemi światłami, gwiazdami, które rzęsiście ronił grudniowy firmament. Powietrze dyszało jakąś tajną wonią, niewypowiedzianą czystością śniegu i fiołków" („Sklepy", str. 147).

Równocześnie Schulz usiłuje opanować, **zdyscyplinować** elementy czysto nastrojowe. Stąd przypuszczalnie płynie pewien **intelektualizm** jego stylu, ujawniający się przedewszystkiem w zamiłowaniu do wyrażeń i zwrotów wybitnie abstrakcyjnych, szczególnie mających zawartość filozoficzną. Słownictwo Schulza roi się od adekwatów i transcedentów.

Nadaje to stylowi pozory głębi, pierwszorzędnie sprzyja artystycznemu odsłanianiu nowych, irracjonalnych aspektów zjawisk. Z tej jednak właśnie strony grozi autorowi niebezpieczeństwo maniery.

W stylu Schulza zjawiają się od czasu do czasu subtelne błyski **groteski.** W całej pełni bez maski dochodzi ona do głosu w drugiej części fragmentu „Emeryt" („Sanatorjum"). Graniczy zaś z nią wzniosły patos czynów i wywodów ojca, a także przemówienie Józefa do figur woskowych po nieudanej imprezie odbicia Bianki. Tutaj stanowi ona podszewkę stylową utworu.

Interesująco też przedstawia się w obu powieściach sprawa aspektu i stosunku autora do ich rzeczywistości. Schulz nie usiłuje tworzyć iluzji objektywizmu, nie wycofuje się za kulisy utworu. Rządzi w nim wszechwładnie pod osobą opowiadającego. Uzasadnia swe poczynania twórcze, daje im podbudowę teoretyczno-metafizyczną, nie szczędzi wyjaśnień czytelnikowi, podając mu od czasu do czasu rękę, by się nie zabłąkał w labiryncie jego wyobraźni. Pod tym względem szczególnie charakterystyczne jest „Sanatorjum".

Konstruując swą rzeczywistość artystyczną w obliczu czytelnika, Schulz podkreśla jej subjektywizm; akcentuje, że sensu jej należy szukać nie w jakiejś objektywnej rzeczywistości, ale jedynie w twórczej, nieskrępowanej żadnemi normami fantazji artysty. Przeciwstawia się tendencjom powieści realistycznej. I tylko na tej czysto artystycznej płaszczyźnie, biorąc pod uwagę poprzednio omówione właściwości, można mówić o jego antyrealizmie.

Wszystkie dotychczasowe wywody wskazują wyraźnie na **czysto eksperymentalny** charakter utworów Schulza. W poczynaniach swoich nie jest on odosobniony. W ostatnich latach ustawicznie zjawiają się próby znalezienia nowych dróg rozwojowych dla powieści.

Jedne z nich dążą do osiągnięcia jak największego kunsztu kompozycyjnego, nie łamiąc zasadniczo podstawowych własności powieści jako określonego gatunku literackiego (Boguszewska, Choromański).

Inne deformują raczej, rozluźniają formę powieściową, wprowadzając do niej elementy innych gatunków, szczególnie elementy czystej liryki. Tak się dzieje przedewszystkiem w powieściach poetów, próbujących prozy (Kurek, Piętak).

Schulz bliższy jest grupy pisarzy, uprawiających poezję w powieści. Jednak jego eksperymenty są bardziej zdecydowane i rewolucyjne. To już nie wprowadzanie nowych elementów do powieści, ale negacja artystyczna samego gatunku. Autor „Sanatorjum pod klepsydrą" stoi na stanowisku „ponadgatunkowem", uprawiając twórczość, której nie da się zaklasyfikować w ramach znanych kategoryj literackich i którą usiłowaliśmy określić jako **powieść imaginacyjną.**

Pod tym względem zbliża się najbardziej do Gombrowicza (antyrealizm artystyczny, fragmentaryczność, groteska i t. p.). „Emeryt", mówiąc nawiasem, wprowadza ten sam tematyczny motyw infantylizmu.

Doniosłość jednak artystyczna obu autorów jest niewspółmierna. Gombrowicz nie wychodzi poza jaskrawą, często nawet prymitywną groteskę czy satyrkę. Usiłuje zakrzyczeć albo zepatować czytelnika inteligentnem pseudo-teoretyzowaniem (pasorzytowanie na snobizmie!). „Ferdydurke" mimo wielkiego rozgłosu i niewątpliwej zręczności autorskiej ma wszelkie cechy jednodniowego motyla.

Sądzę, że inaczej dzieje się z Schulzem. Trudno przypuścić, że utwory jego otwierają przed powieścią nowe perspektywy rozwojowe. Jest to przypuszczalnie ślepy tor. Pozbawianie powieści elementu fabularno-zdarzeniowego prowadzi do degeneracji tego gatunku.

Mniejsza zresztą o to. Niezależnie od ich roli ewolucyjnej, powieści Schulza mają znamiona wielkiego artyzmu. W zakresie zaś słowa poetyckiego wnoszą **nowe, odkrywcze wartości.** Na tem chyba polega znaczenie tych trudnych i „dziwacznych", ale owianych urokiem prawdziwej poezji książek.



Zygmunt Bobowski: Krawcy

JERZY RAUN

LOKATOR COCHON *)

Słyszałeś o Cochonie, „patronie“ bezdomnych? Mam go przed oczyma, jakbym go dopiero wczoraj widział. Chudy, niski, z ryżą bródką, człapał ciężkiemi buciskami po bruku paryskim i zawsze żył w biedzie. Był sezonowym robotnikiem na Sekwanie, a wiesz co to znaczy? Siedem, osiem miesięcy w roku włóczyć się wzdłuż rzeki z rękami w kieszeni i pogwizdywać. Żona Lucyna chodziła prać do kilku sklepikarzy, miała za to żarcie, a w piwnicznej izbie ośmioro bachorów darło się z głodu — rozpacz. Cochon jednak nie tracił humoru. Zachodził do mnie często, mieszkaliśmy w jednej ruderze na rue Chauffourniers, na papierosa.

— No i cóż, Cochon, wciąż jeszcze bez pracy? — zagadnąłem go raz.

— Jakto wciąż? — zdziwił się i zarżał swym chrapliwym śmiechem, który przypominał drapanie tępego noża po zardzewiałej blasze. — Mamy dopiero maj, a ja jeszcze pracowałem w grudniu. Należy mi się odpoczynek, nie? Marjanna, mój panie, — tu zniżył głos i nasunął wyleniałą czapkę głęboko na oczy — dba o swoje dzieci. Nie daje się im zapracowywać. Marjanna to fajna dziewka. Delikatną rączką ujmuje mój podbródek, uśmiecha się szelma tak słodko, że człowieka ciarki przechodzą i mówi: Ach ty Cochon, zmizerniałeś, aż strach patrzeć. Już dość się naharowałeś, wyjdź do lasku bulońskiego i rozciągnij swoje utrudzone gnaty na zielonej trawce. Nałykaj się paryskiego maju, kochanie, nabierzesz rumieńców, sezonowych rumieńców i świat wyda ci się piękny jak nigdy.

— A pan co na to, Cochon? — pytam tym samym tonem.

— Ja? Cóż? Wiem, co się należy. Daję jej klapsa po kuprze, aż się zatacza szelmiutka i zęby wyszczerza, i powiadam: Niegłupiaś, pieszczocho, wiesz, jak trzeba gadać z takim huncwotem jak ja. Owszem, pójdę do lasku wyprażyć się, psiakrew, na waszem republikańskiem słońcu; cóż to, wyrzutek jestem, czy co? — ale najpierw nastaw uszko, najsłodsza, bliżej, nie bój się — najpierw wyślę na trawkę twoich utrzymanków, cha cha... Panowie Poincaré, Bertholet, Delcassé, Millerand — to wysłużone stare pryki, trociny się z nich sypią, a tobie milusia, trzeba jurnych, młodych i zawadjackich kawalerów — o, jak ja; popatrz — i znowu jej wyrżnąłem, ale tak serdecznie, że huk poszedł aż do Elysée.

Roześmiał się na całe gardło, wtem urwał i twarz nabiegła mu krwią. Drżącą ręką podsunął sobie krzesło, usiadł ciężko i naraz chwycił go ostry świszczący kaszel i poprostu darł go w kawały. Okręcił go sobą i miął ciało w nieprawdopodobnych podrzutach. — Oho — pomyślałem — więc to tak?

Gdy się uspokoił, znowu się roześmiał, spojrzał na mnie przepraszająco i powiedział pośpiesznie:

— Ano, muszę już iść. Graty pakować.

Na moje zdziwione spojrzenie dorzucił:

— Nie wie pan? Wyrzucają nas. Czynszu nie zapłaciłem. Ale dostanę już gdzieś jakąś dziurę.

Otóż z temi dziurami było coraz gorzej. Cochon był postrachem wszystkich kamieniczników w Belleville i nikt nie chciał wynająć mu pokoju. Szła wieść od domu do domu: Cochon nie płaci. Ale to jeszcze nic. Cochon był przewodniczącym syndykatu lokatorów i bronił interesów innych niepłacących. Tego już było za wiele. Zwarli się silniej właściciele ruder, pogadali gdzie należy i jednogłośnie orzekli, że dla Cochona nie ma miejsca w Belleville. Ani nigdzieindziej. Bojkot.

Widziałem nazajutrz z okna korowód Cochona. Popychał przed siebie wózek, na którym sterczało kilka desek, baniak, trochę postrzępionej pościeli i kilka obtłuczonych naczyń. Za nim szła Lucyna z niemowlęciem przy piersiach, prowadząc za sobą resztę dzieci. Najstarsze z nich miało może osiem lat. Cochon dawał jakieś znaki sąsiadom, którzy stali na progu domu i coś wesoło wykrzykiwał.

Po kilku dniach zatrzymał mnie duży, czerwony afisz na jednym ze słupów ulicznych. „Cierpliwość nasza wyczerpana... Przyjdźcie wszyscy... Cochon będzie mówił o biedzie lokatorów...“.

Gdy znalazłem się w wielkiej hali na quai Javel, napchanej po brzegi i czarnej od dymu, Cochon stał już na trybunie, miał czapkę w ręku i mówił chrapliwym, urywanym głosem:

— Gdy cierpliwość się wyczerpuje, należy wyczerpać także środki. Próbowałem. Osiem miesięcy. Sprzysięgli się. Utworzyli mur. Mur bezlitosnych i chciwych ciułaczy przeciw setkom tysięcy nędzarzy bez dachu nad głową. 968 gospodarzy odmówiło mi mieszkania. Słyszycie?

Głuchy pomruk przeszedł przez tłum.

— Monsieur Haussmann, apostoł „higjeny“ i nadworny fagas „małego Napoleona“ zburzył nam nasze dzielnice. Wpędził nas w stęchłe zaułki, byśmy się tam podusili, a bulwary zbudował dla bogaczy. A teraz nawet w zaułkach, siedliskach chorób i głodu, nie mamy gdzie głowy położyć. nawet stamtąd chcą nas wyrzucić. Więc pokażemy tym panom, że Paryż to nie jest apartament bankierów i kamieniczników, Paryż należy do nas! Wyjdziemy z Belleville, Menilmontant, Clignancourt na bulwary! Pod Hotel de Ville! Z betami, z bachorami, z całą naszą obmierzłą nędzą i zażądamy od tych pasibrzuchów, którzy sto razy dziennie mełłą w ustach słowo: równość, by nam dali dach nad głową.

— Słusznie! — huczała sala. — Już dość poniewierki! Brawo Cochon!

— A jeśli nam nie dadzą, — ciągnął dalej Cochon, — wedrzemy się do ratusza i tam, w luksusowych apartamentach republiki, zbudowanych za naszą krwawicę, rozlokujemy się, my armja bezdomnych, synowie sanskiulotów i burzycieli Bastylji. Precz z komplotem kamieniczników! Ratusz dla bezdomnych!

Wśród burzy oklasów sala odpowiedziała mu skandowaniem buntowniczej pieśni lokatorów:

Pour être heureux,
Nom de Dieu,
Pends ton propriétaire...

I tej nocy jeszcze ciągnęły setki wózków, naładowanych wszelakiem rupieciem, w kierunku ratusza. Za niemi dzieci okutane w gałgany, kobiety zasuszone głodem, z wyżartemi od ługu oczami, nędzarze o trzęsących się szczękach, powykręcanych i sinych — i nim policja spostrzegła się, wdarli się do sal ogromnego gmachu, rozbijając w nim swe namioty. Szli szmaciarze, którzy kijem, zakończonym haczykiem zbierają z bruku zgniłe łachmany, flaszki z resztkami niedopitego wina, nieobgryzione kości, łupiny, puszki z pożółkłej blachy i robaczywe jabłka; szli ludzie spod mostów z krostami na twarzy, o rękach pokrytych liszajem wodorostów, żywiący się zdechłemi rybami, kwaskowatemi liśćmi i odpadkami z Hal, szły przekupki z St. Denis o wyżartych dziąsłach i wódką spalonych płucach, kobiety które nie miały młodości, dziewczęta syfilityczne i dzieci o wodnistych, ogromnych czaszkach; szły pomywaczki z napęczniałemi brzuchami i wąskobiodre robotnice, pracujące po 18 godzin na dobę, bite przez pijanych mężów i gwałcone przez majstrów, szli hemoroidalni szewcy i nawpół oślepli prasowacze, zamiatacze, jałmużnicy, jaskiniowcy. Sala zebrań, korytarze, gabinety naczelników, pokoje urzędowe — wszystko zapchane było po brzegi gośćmi z zadżumionych dzielnic. Walały się po lśniących posadzkach potargane sienniki, robactwem przeżarte łóżka, stoły o popękanych blatach, powyginane samowary, a ze wszystkich zakątków szedł przenikliwy odór potu, pluskiew i uryny. Ratusz huczał jak okręt napełniony rozkładającem się ludzkiem mięsiwem. Redakcje biły nadzwyczajne dodatki: „Bezdomni ruszają na miasto, Paryż zagrożony“, a w prefekturach odbywały się gorączkowe odprawy gwardji cywilnej. Z trudem, jakby niechętnie, przedzierał się owego ranka pierwszy brzask przez kudły brudnych chmur, które zwisały nad miastem jak monstrualne, zniekształcone wymiona.

Cochon zajmował z rodziną mały pokoik na trzeciem piętrze. Przez całą noc zajęty był pisaniem proklamacji, którą miano nazajutrz rozlepić po mieście. Nie szło mu. W piśmie był nietęgi i razporaz zwracał się do mnie po wskazówki. Lucyna siedziała na zydlu z pochyloną naprzód głową i walczyła ze snem. Naraz ręce jej, dwie ciężkie kłody, poprzerzynane fioletowemi powrózłami żył, opadły wzdłuż ciała. Zasnęła.

Na drugi dzień zawołano Cochona do mera śródmieścia na pertraktacje. W otoczeniu kilku dygnitarzy miejskich czekał w kancelarji w lewem skrzydle ratusza, jedynej ubikacji, przez przeoczenie nieokupowanej przez bezdomnych. Wysoki, jowialny, z rozetą Legji Honorowej na piersiach, przywitał Cochona szerokim uśmiechem. Za Cochonem stało kilku nowych mieszkańców ratusza, wśród których znalazłem się i ja.

— Dzień dobry, panie Cochon, — zawołał mer, zacierając ręce z uciechy. — Miło mi powitać pana u nas. Jakże się tu panu podoba?

— Nadrabia, szelma, miną — mruknął ktoś z naszej grupy.

— Jaki chytry. Znamy się na tem.

Cochon z założonemi wtył rękami poruszył wąsem, odchrząknął i odpowiedział z powagą: — Dziękuję, panie merze. Jeszcze nie zdołaliśmy się rozejrzeć, ale pierwsze wrażenie — owszem. Solidny gmach, tylko jak na naszą gromadę — trochę za ciasny.

— Za ciasny, — powtórzył mer i spojrzał znacząco na dygnitarzy. — Rzeczywiście, pan Haussmann, budując go, nie był przygotowany na tak liczną klientelę. Hm... a czy długo macie państwo zamiar tu pozostać? Bo wie pan — wyciągnął zegarek i potrząsnął nim przed nosem Cochona, — dziewiąta godzina, musimy rozpocząć urzędowanie.

Cochon spojrzał na zegarek i rozstawił szeroko nogi.

— Zgadza się. Dziewiąta godzina. Ale urzędowania dziś nie będzie.

Grupka dygnitarzy drgnęła i nastroszyła wąsy.

— Nie będzie, powiada pan, — mówił dalej mer, nie przestając się uśmiechać, — poprostu nie będzie? Pan Cochon i jego mili kompani zawieszają urzędowanie republiki. Bardzo interesujące.

I nagle twarz mu się zmieniła. Wysokie czoło przecięła pionowa pręga. Uśmiech znikł i głos nabrzmiały tłumioną pasją zaskrzeczał:

— A więc pytam po raz drugi: jak długo potrwa jeszcze ten spektakl?

— Puścił farbę, jucha, — mruknął ktoś stylu. — Hoho.

— No, to pogadamy, — zawołał Cochon i położył pięść na biurku. — Jak długo? — pyta pan. Też pytanie. Rozumie się, aż do czasu, kiedy wszyscy dostaniemy mieszkania. Ale nie takie, z których nas pańscy wyborcy może już jutro wyrzucą. Nie. Solidne mieszkania, z dwuletnią gwarancją. Bo wie pan, ta wieczna tułaczka już nam bokiem wyłazi. Chcemy, by ta wasza republika, od której pan dostał tę śliczną rozetę, pomyślała także i o nas. Pomyśli — dobrze, nie pomyśli — tem gorzej dla niej.

— A więc groźby? — syknął jeden z dygnitarzy.

— 340 tysięcy obywateli wolnej republiki nie może płacić czynszu, 340 tysięcy obywateli zdycha z głodu — mówił dalej Cochon, skandując każde słowo. — Cóż zatem pozostaje? Sprawa jest jasna: albo będziecie za nas płacić albo wprowadzimy się do waszych mieszkań. Co tu dużo gadać?

— Dobra, Cochon! Ale im wygarnął! Wal dalej! — rozlegały się głosy nędzarzy.

— Obywatelu Cochon! Apeluję do pańskich uczuć patrjotycznych, które wbrew pozorom są u pana i u pańskich towarzyszy równie silne jak u nas: niech pan poleci opróżnić bezprawnie zarekwirowany ratusz i zlikwiduje gorszący incydent. My zaś rozpatrzymy wasze położenie i...

Szeroki, dudniący śmiech przerwał przemówienie mera.

— Słyszeliście? — odwrócił się do nas Cochon i rozpostarł szeroko ramiona. — „Równie silne, jak u nas...“. Więc przyznają nam łaskawie trochę uczuć patrjotycznych, bo boją się, że zechcemy podzielić się ich apartamentami. Jak im łydki zaczynają drgać w śmiertelnej trwodze o kochaną świętą własność, apelują do naszego patrjotyzmu. — Gwałtownym ruchem odwrócił się ku dygnitarzom i wywijając pięścią, krzyczał: A czy pamiętacie siedmdziesiątypierwszy, panowie patrjoci? Przypomnijcie no sobie, kto paktował z Bismarckiem, gdy trzeba było zgnieść zbuntowany Paryż? To ci jaskiniowcy, nędzarze w szmatach, którzy przyszli się wam dziś przypomnieć, nadstawiali swe piersi pod bagnety pruskie i ginęli w obronie Francji, tak panowie, tej Francji, którąście wy, kawalerowie Legji, sprzedali w Wersalu. Pamiętacie? A więc pamiętajcie i o tem, że na wasze obiecanki już nie pójdziemy. Kropka, panowie, ratusz jest nasz.

Nacisnął czapkę głęboko na oczy i czerwony jak burak wyszedł w otoczeniu bezdomnych. Grupka dygnitarzy nie ruszyła się z miejsca.

Cztery dni trwała okupacja ratusza. Piątego dnia magistrat przydzielił bezdomnym bezpłatne mieszkania w barakach, na peryferjach miasta. Wylała się z bramy ratusza armja bezdomnych i zapełniła olbrzymi plac. W chwili gdy orszak miał ruszyć, Lucyna, która popychała swój wózek, drgnęła nagle, przechyliła się wtył i z twarzą śmiertelnie wykrzywioną usunęła się na bruk. Nie upadła, lecz jakby załamała się w sobie, a gdy już leżała nieruchoma, wydała się małą kupką popiołu, którą za chwilę wiatr rozwieje na wszystkie strony. Była cisza i wszyscy otoczyli ją szerokiem kołem. Cochon nic nie mówił. Nachylony nad nią wpatrywał się długo w jej szkliste oczy. Potem podsunął pod nią ręce, podniósł ją miękko i tak niosąc umarłą na ramionach, bez słowa prowadził pochód ku przedmieściom.

*) Fragment powieści, rozgrywającej się w latach 1910—1914.

OBRONA CZECHOSŁOWACJI

„Esprit“, znany francuski miesięcznik katolicki, poświęcił jeden z ostatnich zeszytów sprawie Czechosłowacji. W artykule, broniącym Czechosłowacji czytamy m. inn.:

Aż do czasu utworzenia się Trzeciej Rzeszy zagadnienie sudeckie było typowym konfliktem mniejszościowym, wynikłym z traktatów pokojowych, które okazały się niewystarczające, aby zlikwidować ucisk. W wielu punktach zło zostało tylko przemiejscowione. Czechy były zawsze centrum pangermanizmu, szkołą przyszłych władców cesarstwa, żadna ziemia nie była tak dobrze przygotowana do przyjęcia hitleryzmu. Dlatego też partja narodowo-sojalistyczna została tu założona na długi czas przedtem, zanim Hitler zgromadził swoich 7 towarzyszy. Ale ruch ten rozwinął się, gdy Hitler zatryumfował w Niemczech. Tryumf ten wypadł na chwilę, kiedy kryzys światowy dotknął także zagłębia przemysłowego Czech. Bezrobotni powiększyli szeregi pangermanistów i konflikt mniejszościowy przybrał charakter ekonomiczny. Niemcy oskarżyli Czechów o systematyczną ruinę. Rząd praski pozwolił, ażeby kryzys się pogłębiał, częściowo nie mogąc temu przeszkodzić, częściowo zaś, ponieważ zubożanie Niemców, dzierżących przemysł Czechosłowacji i jej najlepsze pozycje strategiczne, pozwalało rządowi na przejęcie ich we własne ręce i wykazanie, że Niemcy byli w znacznej mierze winni własnej ruinie. W latach powojennych, gdy fabryki Czech, oszczędzone przez wojnę, pracowały za te wszystkie, które wojna zniszczyła i osiągnęły niesłychany dobrobyt, przemysłowcy niemieccy z nienawiści do Czechów umieścili wszystkie swoje szalone zyski w Niemczech, gdzie inflacja im je porwała, zamiast inwestować je we własnych fabrykach, których zestarzałe maszyny nie były wkrótce w stanie konkurować ani z przemysłem nowych państw, świeżo wyposażonych, ani z Niemcami, uzdrowionemi przez racjonalizację. Niemcy bardzo się skarżyli, że w chwili, kiedy bezrobocie najbardziej im dokuczało, wszystkie wielkie przedsięwzięcia w ich stronach zostały powierzone wyłącznie robotnikom czeskim. Fakt ten jest prawdziwy i został potwierdzony w mowie oficjalnej ministra Benesza, jako błąd do naprawienia. Ale infiltracja czeska na terytorja niemieckie, której uzurpacja prawa do pracy była jednym z aspektów i która jest dzisiaj systematycznie uprawiana wbrew zaprzeczeniom, została spowodowana przez przemysłowców pangermańskich. Albowiem „Wielkie Niemcy“ zatrzymywały się na progu ich kieszeni, która napełniała się lepiej przy pomocy robotnika czeskiego, tanio płatnego, aniżeli robotnika niemieckiego, mającego wyższe wymagania. Dzieje się to zresztą pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi: krzywda, czyniona mniejszościom przez ich własnych kapitalistów.

Jednym z głównych zarzutów w polemice, która się toczy dokoła konfliktu sudecko-czeskiego, jest prawo, ogłoszone w 1935 r. o bezpieczeństwie państwa. Prawo to pozwala oddalić z przedsiębiorstw obrony narodowej każdą osobę, podejrzaną o nielojalność wobec państwa, w obrębie pasa granicznego, który liczy ponad 2 miljony Niemców, co dało pole do wielkich nadużyć. Ale jest rzeczą zrozumiałą, że państwo nie może poświęcić obrony swego bezpieczeństwa tym obywatelom, którzy przysięgli nigdy nie uznać jego suwerenności...

Czechosłowacja, która doświadczyła na sobie, że nie można rządzić w Europie środkowej metodami centralizmu imperjalistycznego, może utrzymywać swoją niepodległość, jeżeli będzie umiała poświęcić część swojej suwerenneości na korzyść ludów, które ochrania, i rozwiąże problem Europy naddunajskiej, w przeciwnym zaś razie zrobią to Niemcy wedle planów Mitteleuropy. Niemcy utworzą Europę środkową na zasadzie federacji, ale wedle zasady hierarchji, którą scementują mistyką narodowego socjalizmu.

PROGRAM

(przemówienie urzędowe)

Usprawnienie, proszę panów,
polityczne, że tak powiem,
jest to, dodam, niesłychana
niesłychanie ważna rzecz,
ale proszę, by panowie
pomyśleli o tych planach,
deklarując wprost rządowi,
że jest pług i że jest miecz.
Więc — rzecz najważniejsza — żydzi!
Problem, że tak powiem, stary,
o cóż w tym wypadku idzie?
Idzie o to, aby szło!
Wielka sprawa chce ofiary,
niech się zatem nikt nie wstydzi,
zwłaszcza, że humanitaryzm
jest powszechnie rzeczą mdłą!
Więc ta sprawa załatwiona,
wiem, że nikt o głos nie prosi,
a kto myśleć chce o plonach,
niech do siewu zgłasza chęć.
Na ofiarnym płonąc stosie
program nasz się sam dokona,
gdy w gazetach się ogłosi,
że jest rubież i jest piędź!
Jeszcze import eksportowo,
delożując transfer loco,
trzeba dobrze robić głową,
by miał z tego coś i chłop.
Bilans z ubiegłego roku
był poezją finansową,
mierząc nieco za wysoko,
bo tymczasem wyrósł C. O. P.!
Uwzględniając panów zgodę,
uchwalimy nowy ścigacz,
trzeba razem i z narodem
od Tatr szczytów aż po Bałt.
Nikt nie może się wymigać,
czas wygoić stare wrzody,
założona teraz Liga
będzie krzewić krzepę aut!
Aż faktycznie warstwa z warstwą
wszystkie partje w jedność złączy,
bowiem jedność to lekarstwo,
które złączy nas na fest.
Wówczas okręt państwa rączy
pożegluje ku mocarstwu,
wobec tego znów zakończę —
proszę panów — byczo jest!!!

Tadeusz Hollender

STEFAN RUDNIAŃSKI

JOHN BELLERS*)

JAN AMOS KOMENSKY I JOHN BELLERS

Nie jest chyba przypadkiem — jak słusznie zaznaczył **Kautsky**, — że genjalny reformator wychowania i nauczania, J. A. Komensky, był ostatnim biskupem **Braci Czeskich**, którzy jako następcy i potomkowie **Taborytów**, przywiązywali wielką wagę do dobrej szkoły ludowej. W tej ich wysokiej ocenie wartości oświaty powszechnej tkwi właśnie źródło demokratyzmu autora „Wielkiej Dydaktyki", który uważał, że „do szkół powinno się ściągać nie tylko dzieci bogaczy i dostojników, ale i wszystkie narówni: szlachetnie urodzone i niskiego pochodzenia, bogate i ubogie, chłopców i dziewczęta, po miastach i miasteczkach, po osiedlach i wsiach", że cała młodzież powinna otrzymać wykształcenie elementarne w języku ojczystym w tych samych szkołach publicznych, bez względu na majątek lub stanowisko społeczne rodziców.

Nie należy jednak wpadać w przesadę, wyprowadzając demokratyzm Komenskiego w jego koncepcji organizacji oświaty wyłącznie ze **środowiska, z którego** wyszedł: działał on przedewszystkiem na arenie **szerszego świata**, poza krajem ojczystym i poza wąskim kręgiem współwyznawców, w atmosferze **nowych warunków współżycia ludzkiego,** wymagających od człowieka **aktywności** i **samodzielności,** aby — jak powiada Komensky — „nie stał w życiu bezradny wobec sposobów wszelakiej twórczości praktycznej". Uzasadnia on tedy po raz pierwszy w dziejach w zaraniu uprzemysłowienia społeczeństw nowożytnych hasło **ośmiogodzinnego dnia pracy,** dzieląc „dzień naturalny" na trzy równe odcinki, z których jeden miał być przeznaczony na sen, drugi na „zabiegi wewnętrzne", trzeci wreszcie na „pracę poważną". Hołduje dalej w swej pedagogice **utylitaryzmowi,** zalecając uczyć młodzież „tylko tego, co w sposób oczywisty da się w praktyce zastosować" i wskazywać uczniowi zarazem, „jakie zastosowanie mieć to dlań będzie w codziennem życiu potocznem". Nie dość na tem: Komensky doceniał nawet wagę **przysposobienia dziecka do pracy** od lat najmłodszych, czyli, jak się wyrażał, „elementarnego nauczania **zajęć mechanicznych**" i zapoznania dzieci z gospodarstwem domowem.

Znamienne jednak, że do najaktualniejszych nawet i najpraktyczniejszych postulatów pedagogicznych podchodzi Komensky nie od strony gospodarczo-utylitarnej, jeno wyprowadza je z **ogólnych rozważań teoretycznych, oderwanych nieraz zupełnie od życia społecznego;** uzasadnia n. p. postulat powszechności oświaty motywami o charakterze **religijno-teologicznym,** inne znów postulaty dedukuje z założeń **przyrodniczo-filozoficznych,** a więc n. p. z głębokiego przeświadczenia o **ukrytej celowości natury,** która „nie tworzy niczego napróżno, t. zn. bez określonego celu i bez środków, przystosowanych do jego osiągnięcia".

Co innego **John Bellers** (1654—1725). Nie mamy wprawdzie dokładnych informacyj o życiu tego wybitnego ekonomisty angielskiego poza niewątpliwym faktem jego przynależności do **kwakrów,** którzy cenili oświatę powszechną równie wysoko jak Bracia Czescy, i nie widzielibyśmy zapewne nic zgoła o jego ideach społeczno-pedagogicznych, gdyby znakomity angielski myśliciel społeczny **Robert Owen** nie znalazł był przypadkowo głównego dzieła swego wielkiego poprzednika i nie ogłosił go drukiem jako jednego z aneksów własnej, większej pracy w ilości 1000 egzemplarzy.

Już sam tytuł wspomnianego dzieła Bellersa świadczy o odmiennem od Komeńskiego ujęciu zagadnień wychowawczo-oświatowych, brzmi on bowiem jak następuje:

„Projekt założenia kolegjum przemysłowego dla nauki wszystkich pożytecznych rzemiosł, tudzież gospodarstwa rolnego, który powinien zapewnić pożytek dla bogatych, różnostronne (bogate) życie dla ubogich oraz dobre wychowanie młodzieży. Będzie to pożyteczne dla państwa, gdyż pomnoży jego ludność i jego bogactwa". („Proposal for raising a College of Industry of all usefull Trades and Husbandry" i t. d. — London, 1696).

Motto traktatu pedagogicznego Bellersa, ogłoszonego drukiem w pierwszem wydaniu w parę zaledwie lat po ukazaniu się „Myśli o wychowaniu" **Locke'a** (1693) brzmi: „Przemysł zapewnia obfitość. 1) Próżniak odziany będzie w łachmany. 2) Kto nie pracuje, niechaj nie je".[2])

IDEE SPOŁECZNE BELLERSA NA TLE JEGO EPOKI

Obszerny tytuł dzieła Bellersa oraz jego charakterystyczne „motto" wprowadzają czytelnika równocześnie w epokę autora i w krąg jego myśli. Kategoryczne twierdzenie, że „przemysł zapewnia obfitość" pozwala przypuszczać, że rozwój sił wytwórczych Anglji odbywał się wówczas w tempie przyśpieszonem pod znakiem **uprzemysłowienia kraju,** aczkolwiek jeszcze nie tak szybko, jak później w dobie „rewolucji przemysłowej", plan zaś założenia „kolegjum przemysłowego" jako gwarancji zapewnienia „bogatego życia dla biednych" w związku z postulatem: „Kto nie pracuje, niechaj nie je", świadczy o palącem w dobie Bellersa zagadnieniu nędzy i bezrobocia oraz o pragnieniu rozwiązania go w interesie klasy pracującej.

W istocie „Glorious Revolution" (druga t. zw. „sławna" rewolucja angielska) z r. 1688, mimo że dokonana bez przelewu krwi, usuwa przeszkody, jakie ustrój państwowy stawiał dotąd politycznemu wpływowi kupców i przemysłowców, sankcjonuje więc tem samem fakt przejścia „potęgi, tkwiącej w ziemi, do pieniędzy", jak się wyraził genjalny satyryk **Swift.** Pewne oznaki na przełomie lat 70-tych i 80-tych w. XVII zwiastują nadejście tryumfu tej potęgi jeszcze przed drugą rewolucją: powstaje wówczas mianowicie szereg „kompanij przemysłowych" i manufaktur. Wprawdzie wstrząs polityczny, wywołany przez „bezkrwawą rewolucję", odbija się również na życiu gospodarczem, wywołując szereg bankructw, jednakowoż lata porewolucyjne znamionuje rozkwit spółek udziałowych, obejmujących szereg gałęzi wytwórczości przemysłowej: górnictwo, hutnictwo, metalurgję, papiernictwo, przemysł włókienniczy. Kapitał zakładowy tych przedsiębiorstw sięga nieraz dziesiątków tysięcy funtów, a jeszcze znaczniejszy kapitał posiadają świeżo założone banki, udzielające kredytu nowym firmom.

Mimo, że przemysł ówczesny opiera się w dużej mierze na pracy domowej chałupników, ukazują się już pierwsze oznaki nowożytnego systemu kapitalistycznego i wytwórczości na wielką skalę. Przedsiębiorcy zaczynają gromadzić robotników w jednym lokalu, gdzie pracują w większej ilości dla pojedyńczych kapitalistów. Niektóre „manufaktury" zatrudniają po stu kilkudziesięciu ludzi. Ale ten intensywny proces uprzemysłowienia nie zapewnia bynajmniej „obfitości" tym, którzy przyczynili się doń w miarę swojej siły roboczej. Spada w dalszym ciągu, według obliczeń **Rogersa,** realna wartość nabywcza płacy robotnika, a nie równoważy tego spadku obniżenie długości dnia pracy — ba, zarówno rzemieślnicy, jak i robotnicy manufaktur w wypadkach, nie cierpiących zwłoki lub „gdy trzeba było skończyć zaczętą robotę, musieli pracować i nocą, a nawet w dni świąteczne".

Gdybyż przynajmniej robotnik miał zapewnioną pracę, choćby i w najcięższych warunkach! Niestety jednak — jak zauważył Bellers w r. 1699 w jednem ze swoich dzieł, traktujących „o ubogich i manufakturach" — „możność uzyskania pracy jest zależna nawet od takich czynników, jak kapryśność mody".

„Jest ona powodem dwóch wielkich niedogodności: 1) zimą robotnicy cierpią nędzę i bezrobocie, ponieważ właściciele sklepów bławatnych i majstrowie tkaccy boją się wykładać kapitał na najem robotników, zanim z nadejściem wiosny dowiedzą się, jaka ma być moda; 2) gdy na wiosnę niema dość robotnika, to majstrowie tkaccy muszą brać do roboty bardzo wielu uczniów, aby w ciągu kwartału lub półrocza pokryć zapotrzebowanie całego Królestwa. W ten sposób odciągają oni robotnika od pługa, wywabiają go ze wsi i w znacznym stopniu zapełniają miasta żebrakami, a w zimie wydają na pastwę śmierci głodowej wielu tych, co wstydzą się żebrać".

Zastanawiając się nad przyczynami rosnącego ubóstwa i nędzy, czyli „pauperyzmu" jak nazwano później to zjawisko — wśród klasy pracującej Anglji ówczesnej, dochodzi Bellers w dobie panowania merkantylizmu i merkantylistycznego zapału dla systemu monetarnego w nauce ekonomji politycznej i w polityce ekonomicznej państw europejskich do przekonania, że nie pieniądz, ani bilans handlowy nie stanowią źródła dobrobytu narodowego, jeno wyłącznie **spotęgowanie wydajności pracy** i przekształcenie istniejącego systemu wytwarzania. Albowiem „ziemia i jej praca są podstawą wszystkich dóbr; im mniej będziemy mieli rąk niezatrudnionych, tem prędzej pomnożymy ilość dóbr".

Niestety, w dzisiejszym ustroju społecznym marnotrawi się siłę roboczą, zamiast ją oszczędzać i pielęgnować.

„Dzisiaj rujnuje się tak samo rolnika, jak i robotnika (rzemieślnika), mimo, że pierwszemu zdarzy się niekiedy dobry urodzaj, drugi zaś przykłada się starannie do pracy wytwórczej, ponieważ głównym celem nie jest praca, lecz pieniądz; rolnik płaci takiż czynsz i otrzymuje takąż płacę przy marnym urodzaju, jak wówczas, gdy zbierze dwakroć większe plony; nie lepiej ma się sprawa z rzemieślnikiem, popierają go bowiem nie ci, którym potrzebna jest jego umiejętność, lecz ci, co mogą mu dać więcej pieniędzy (mogą go wynająć); jakże często zdarza mu się brać pół ceny za gotówkę..." („Proposal for raising a Colledge").

Chcąc zapewnić wszystkim ludziom dobrobyt, trzeba położyć kres zależności życia ludzkiego zarówno od kapryśnych i zmiennych upodobań garści niepracujących („próżniak ubrany będzie w łachmany"), jak od zysku indywidualnego, który jest dziś regulatorem produkcji. Niechaj człowiek, wyzwolony z tyranji pieniądza i towaru, zapanuje nad martwemi rzeczami mocą nieprzedawnionego prawa do wytworu własnej pracy! Wówczas nie będzie w państwie nędzy, ani bezrobocia, tem samem zaś znikną najważniejsze przyczyny zatargu między państwami. Aby udaremnić również na przyszłość wszelkiego rodzaju antagonizmy międzynarodowe, proponował Bellers parlamentowi, obok planu reformy społecznej w duchu przytoczonych powyżej poglądów, plan zniesienia wojen przez utworzenie ligi narodów, celem międzynarodowego uregulowania konfliktów międzypaństwowych.

IDEE PEDAGOGICZNE BELLERSA

Dążąc do wyzwolenia ludzkości z tyranji pieniądza i towaru i uczynienia jej władczynią świata rzeczy i stosunków społecznych, nie pragnął bynajmniej Bellers zawrócić biegu rozwoju społecznego wstecz, ku jakiemuś wymarzonemu, złotemu wiekowi, nie znającemu ani skoplikowanych potrzeb społeczeństwa nowożytnego, ani też udoskonalonych środków ich zaspokojenia: podobnie, jak **Morus,** wybiegał on **naprzód,** ku nowym formom organizacji sił wytwórczych i ustroju społeczeństwa. W przeciwieństwie jednak do autora „Utopji", upatrywał podstawę ekonomiczną społeczeństwa przyszłości nie w rolnictwie, lecz w **przemyśle,** zorganizowanym przytem w **manufakturach,** nie zaś w drobnych warsztatach rzemieślniczych, jak to widzimy jeszcze u Morusa.

Opierając się na nowych zdobyczach gospodarczych i technicznych, jakie poczynił dotychczas rozwój społeczeństwa, umie Bellers ocenić wielkie znaczenie **kooperacji** wysiłków ludzkich dla podniesienia wydajności pracy: „jeden człowiek wogóle nie uniesie ciężaru tonny — powiada w „Proposals" — dziesięciu uczyni to z wysiłkiem, ale stu podniesie tonnę, gdy każdy z nich tylko palcem ruszy".

Zamiast wszakże zorganizować należycie podział pracy gwoli osiągnięcia maksymalnej jej wydajności w interesie całego społeczeństwa, marnotrawi się dziś siłę roboczą licznych zastępów robotników, nie kształcąc racjonalnie ich uzdolnień zawodowych już w dzieciństwie, aby wdrożyć ich zawczasu do pracy zespołowej.

Już przed Bellersem uskarżał się znany ekonomista **William Petty** na to, że „młodzież nasza w Anglji nic nie robi aż do czasu, gdy rozpoczyna termin i dlatego później potrzeba jej naturalnie wiele czasu — siedem lat, aby wykształcić się na doskonałych rzemieślników". Ale merkantylista Petty pragnął wyzyskać pracę zawodową młodzieży w interesie przemysłowców, który zbiegał się dlań z interesem państwa, natomiast Bellers w swoich pomysłach racjonalnej organizacji wychowania i wykształcenia dzieci z warstw pracujących kieruje się głównie względem na **ich dobro, równoznaczne z pożytkiem dla całego społeczeństwa.**

Proponuje więc założenie szeregu „kolegjów przemysłowych", które byłyby zarazem **szkołami internatowemi** dla młodzieży żeńskiej do 21 r. życia oraz męskiej do 24 r. i **spółdzielczemi kolonjami wytwórczemi.** Młodzież, umieszczona w tych zakładach, otrzymywać będzie **wychowanie społeczne,** gorąco popierane przez Bellersa w przeciwieństwie do współczesnego mu Locke'a. Przewaga wychowania społecznego nad wychowaniem dawnem polega, zdaniem Bellersa, przedewszystkiem na ścisłem związaniu go z **pracą wytwórczą.** Wychowawczo-kształcącą wartość przysposobienia do tej pracy uzasadnia Bellers wszechstronnie motywami natury **pedagogicznej, etycznej, ekonomicznej i społecznej.**

„Cztery godziny rano i tyleż po obiedzie — to zbyt wiele czasu dla przywiązania dzieci do książki; nawet dorosłemu trudno wytrwać tak długo przy jednym przedmiocie lub jednej sprawie, tem bardziej dzieciom, jako że mają słaby organizm i wielkie upodobanie do zmiany; przynosi to również szkodę ich zdolnościom umysłowym, oducza od zamiłowania do książek i zmusza do marnotrawienia nadmiernej ilości czasu; możnaby zachęcić dzieci do spędzenia go z większym pożytkiem: robotnik potrafi wytrwać w swej pracy dłużej, niż zdoła wysiedzieć w swej pracowni (study) człowiek zajęty wysiłkiem umysłowym. Ludzie nabierają siły wskutek pracy fizycznej, nie zaś za sprawą myślenia. Któż jest mocniej zbudowany od rolnika i któż słabiej od wielkiego uczonego? Praca dolewa oliwy do lampy życia, myśl ją rozpala... Praca jest również potrzebna dla zdrowia naszego ciała, jak pokarm dla utrzymania go przy życiu, albowiem cierpienia, których człowiek pragnie uniknąć zapomocą próżnowania, nawiedzą go później w postaci chorób". Praca ręczna wpływa zresztą dodatnio nie tylko na rozwój fizyczny: „czyni umysł mądrym, hartuje wolę".

Co się tyczy **wartości moralnej** pracy, to „nauka próżniacza jest mało co lepsza, niż nauka próżniactwa", natomiast praca fizyczna, umacniająca wolę w cnocie „jest przedwiecznem urządzeniem boskiem", gdyż „w pocie czoła swego zarabiać powinniśmy na swój chleb". „Prawidłowy tryb życia kolegjum, wolny od wszelkich trosk doczesnych, oparty na łatwej i uczciwej pracy oraz nauce religji, uczyni ten zakład **źródłem i szkołą cnoty".**[3])

„Takie życie ludzi ubogich w obrębie kolegjum przypominać będzie przykład pierwszych chrześcijan, którzy również żyli w gminach, potęga zaś, którą zdobyli, świadczy o doskonałości takiego trybu życia".

Wartość **ekonomiczna i społeczna** pracy, zorganizowanej w kolegjach, polega wreszcie po pierwsze na praktycznem zapoznaniu się młodzieży z procesem wytwarzania i wdrożenia jej w ten sposób do różnych zawodów, po drugie — ze względu na umożliwienie wychowankom kolegjum pozostania w nim nadal po ukończeniu nauki w charakterze **udziałowców spółdzielni** — na uwolnieniu pracowników od wyzysku przedsiębiorcy prywatnego oraz od „intryg bliźnich, którzy usiłują oszukać go wszelkiemi sposobami zapomocą kupna i sprzedaży".

Dowiadujemy się od Bellersa, prócz informacyj o **celach** wychowania społecznego, również interesujących szczegółów o **metodach** wychowania i wykształcenia,ześrodkowanego dokoła pracy wytwórczej. Świadczą one o tem, że autor „Proposals" nie pojmował jednostronie tego wykształcenia w sensie wąskiego przysposobienia czysto zawodowego.

Charakterystyczne jest w tym względzie samo porównanie, którego używa, wyjaśniając metody nauczania pracy ręcznej:

Podobnie, jak „czytając sobie na głos i prowadząc między sobą rozmowy na temat lektury, odniosą dzieci daleko więcej korzyści, niż czytając dla siebie samych" — nauczą się one również pracy wytwórczej „w stałym kontakcie ze sobą, z dorosłymi i nawet z ludźmi różnych narodowości". „Obserwując, jak inni pracują i oszczędzają swój czas, będą, zamiast się bawić, uczyć się jakiegoś rzemiosła, ponieważ praca nie będzie dla nich trudniejsza od zabawy", — mianowicie „chłopcy i dziewczęta od czwartego lub piątego roku życia, prócz czytania, nauczą się również robót szydełkowych, przędzenia i t. d., starsi zaś chłopcy — tokarstwa i t. d."... „Widząc, jak inni pracują, będą ich naśladować, naśladowanie zaś obcej pracy stanie się dla nich takąż rozrywką, jak zabawa; nauczy ich to i przysposobi do pracy dotąd, aż dorosną; brak takiego przygotowania zgubił wiele roślin, rokujących nadzieje, które mogłyby dać dobry owoc... Tak dalece jest dzieciom łatwiej nauczyć się rzemiosła i wdrożyć się do pracy, niż dorosłym".

Celem ułatwienia wdrożenia, należy racjonalnie **rozplanować pracę** dzieci i młodzieży, „informując się zawczasu u rozmaitych rzemieślników, — o ile chodzi o uregulowanie zajęć dorastającej młodzieży — jaka powinna być zwykła, codzienna, racjonalna praca mężczyzn, aby ułożyć we właciwy sposób reguły i ustawy kolegjum".[4])

...„Gdy dzieci zaczną zawczasu pracować, potrafią stać się najlepszymi robotnikami". Nie dość na tem, nawet łatwe początki tej pracy „udoskonalą ich rozsądek drogą doświadczenia poglądowego (można w ten sposób nauczyć się szybciej, niż zapomocą samego oderwanego rozmyślania; trzyletnie dziecko zrozumie więc lepiej za sprawą własnego czucia, że ogień pali, niż mógłby to pojąć trzynastoletni chłopiec zapomocą najsubtelniejszych, najbardziej oderwanych rozważań bez udziału bezpośredniego postrzegania), podczas gdy jałowe zajęcia dziecinne czynią umysł dzieci równie jałowym".

Trzeźwość umysłu Bellersa ujawnia się nie tylko w jego uwagach metodycznych, ale i w rozważaniu **możliwości sfinansowania** projektu urządzenia „kolegjów przemysłowych". Rzecz prosta, że zakłady tego rodzaju nie mogą się opierać na „ludziach ubogich", którzy potrafią wnieść jako udział do spółdzielni jedynie pracę własną: aby można było oprzeć „kolegja" na solidnych podstawach finansowych, muszą się znaleźć bogaci założyciele, do których też odwołuje się autor „Proposals", przedstawiając im różnostronne korzyści materjalne, jakie zapewni im działalność kolegjów w charakterze spółdzielni wytwórczych.

Fundatorowie będą zatem otrzymywać „corocznie dla siebie i dla swych ro-

---

[1]) Fragment ze szkicu o **J. Bellersie** w drukującej się książce: „Idea wychowania społecznego w dziejach myśli pedagogicznej" („Szkice z historji wychowania"), która ukaże się w najbliższych tygodniach w wydaniu „Nowej Bibljoteki Społecznej".

[2]) Tytuł i motto wymienionego traktatu cytuje **Marx** w t. I. „Kapitału", nazywając Bellersa „fenomenem ekonomji politycznej" i wyrażając się z najwyższem uznaniem o jego pomysłach pedagogicznych. Nazwisko Bellersa figuruje zresztą niejednokrotnie na kartach „Kapitału" w związku z rozmaitemi ustępami z jego dzieła, na które powołuje się Marx w swych wywodach historycznych.

[3]) W myśl tych rozważań ceni Bellers wychowanie wyżej, niż wykształcenie: „chociaż nauka jest pożyteczna, jednakowoż cnotliwe i staranne wychowanie przyczynia się bardziej do szczęścia w życiu doczesnem i przyszłem".

[4]) Nazwa „kolegjum", nie zaś dom roboczy (work-house), jest odpowiedniejsza — tłumaczy Bellers — z tego względu, ponieważ brzmi przyjemniej, pozatem zaś ponieważ w kolegjum istnieją wszystkie rodzaje pożytecznej nauki.

dzin (jako części swego zysku) określoną ilość wełny, bielizny, ubrania, obuwia, pończoch i t. d. Ponieważ kilka kolegjów założyć można na wybrzeżu morskiem jako ośrodki racjonalnego rybołówstwa, pokryją one pracą swych członków koszty utrzymania i dadzą ponadto duże zyski, dzięki znacznemu zapotrzebowaniu ryb morskich na rynkach zagranicznych. Dochód ten można: „1) podzielić między założycielami, 2) obrócić na zaopatrzenie w kolegjum większej ilości ludzi, co stanowi najlepszy zysk, 3) na zakup i udoskonalenie (ulepszenie) gruntu, 4) na budowę, 5) na sprowadzanie towarów zagranicznych".

Obok argumentów tego rodzaju, posługuje się Bellers również motywami **natury społecznej:** dowodzi więc n. p., że w kolegjum można będzie utrzymać za sto funtów rocznie dziesięćkroć więcej osób, niż za tę samą sumę w przytułkach lub szpitalach i że w ramach organizacji kolegjum da się urzeczywistnić w ten sposób — jakbyśmy to dzisiaj nazwali — idea **ubezpieczenia społecznego** inwalidów pracy.[5]) Przekonywa następnie, że drogą wychowania dorastającego pokolenia w kolegjach **można przekształcić społeczeństwo w krótkim stosunkowo czasie,** ponieważ „gromadzki tryb życia (collegiate way of living) przyczynia się do zbawienia licznych jednostek, odsuwając od nich troski doczesne", które pozbawiają wielu królestwa niebieskiego, jak to wynika z przypowieści ewangeliczne o siewcy: „w ciągu siedmiu, ostatecznie czternastu lat może dorosnąć młodzież, której takie życie wyda się bardziej naturalnem". Wówczas „taka gmina zdoła się stać odwzorowaniem w minjaturze (epitomy) całego świata, ześrodkowawszy bowiem w sobie wszystkie pożyteczne rzemiosła, zapewni swoim członkom wszystkie korzyści, jakich ludzie mogą pragnąć i jakie przysługiwać powinny chrześcijanom".

W tych ostatnich słowach zawarta jest, rzec można, **synteza społeczno-pedagogicznych idei Bellersa,** zmierzających w ostatecznym swym celu do **pokojowej przemiany społeczeństwa przez radykalną reformę wychowania** w zgodzie z ideologją odłamu demokratycznego kwakrów, natomiast w przeciwieństwie do haseł i programów lewellerów.

Ten element **utopizmu** w poglądach autora „Proposals" uczynił znakomitego ekonomistę wybitnym **myślicielem pedagogicznym,** przedstawicielem **ideologji spółdzielczej** w dziejach pedagogiki angielskiej, teoretykiem idei **wychowania społecznego i szkoły pracy wytwórczej.**

Przyszedł wprawdzie za wcześnie na świat jako ekonomista i reformator wychowania: w nauce ekonomji panował wówczas niepodzielnie merkantylizm, w teorji wychowania prym wiedli rzecznicy wychowania indywidualnego z Lockem na czele, w praktyce oświatowej sprawa kształcenia dzieci ludu pracującego stała na ostatnim planie, same zaś masy nie miały jeszcze dość siły i uświadomienia na to, aby się upomnieć o „prawo do własnego mózgu" i do urabiania mózgów swych dzieci zgodnie z potrzebami i dążeniami ich środowiska. Ale w sto lat niespełna po śmierci Bellersa zjawił się wielki działacz i myśliciel, który nie tylko odszukał zapomniany jego projekt i ogłosił go ponownie drukiem, lecz — co najważniejsze — urzeczywistnił go częściowo w swych zakładach przemysłowych w New Lanark, znalazłszy w środowisku robotników fabrycznych te żywe siły realne, które Bellers chciał dopiero rozwinąć w swoich „kolegjach".

Stefan Rudniański

---

[5]) „Kiedy robotnicy się zestarzeją, wolno im będzie zmniejszyć codzień o jedną godzinę czas swej pracy, skoro zaś wreszcie osiągną 60-ty rok życia, uczyni się ich **obserwatorami** (o ile nie otrzymali tej godności wcześniej za swe zasługi)". Takie zabezpieczenie starców jest — dowodzi Bellers — racjonalniejsze od jałmużny prywatnej, ponieważ uwolni społeczeństwo od trosk i „grozi mniejszem niebezpieczeństwem w sensie różnych strat".

* * *

W poprzednim (50) numerze „Sygnałów" z dnia 1 sierpnia: **Emil Zegadłowicz:** Przechadzka Zydla. — **Józef Lubojański:** Zmierzch antyklerykalizmu. — **Jerzy Putrament:** Prolog powieści. — **Tadeusz Hollender:** Liberalny minister. — **Antoni Starża:** Niemcy grożą. — **Zofja Solarzowa:** Ludzie z chłopskiego uniwersytetu. — **Jerzy Kamil Weintraub:** Wojaż do kresu refleksyj. — **Seweryn Sosnowski:** Nowa książka Maksima Tanka. — **Zygmunt Jarosz:** Sprawy społeczne. — **J. N. Miller:** O kontuszowym humanitaryzmie pisarzy polskich. — **Konstanty Anselm:** Dziwny patron demokracji. — **Tadeusz Banaś:** Życie prawdopodobne. — **Stefan Wodwicz:** Ksenofobja czy wstydliwość dziewicza. — **Edward Csáto:** Rewolucja na raty. — **Marjan Czuchnowski:** Walka o zwartą grupę. — **Juljusz Krajewski:** Na kartoflisku (rys.). — **Helena Malarewicz:** Portret (rys.). — **Bronisław Linke:** Strach przed samym sobą. Nokturn. Odpoczynek (rys.). — Oblicze dnia. — Korespondencja (**Jakób Kluger**). — 12 stron. — 7 ilustracyj.

JERZY BOREISZA

TRAWKA BRONISŁAWA LINKEGO

Motto:

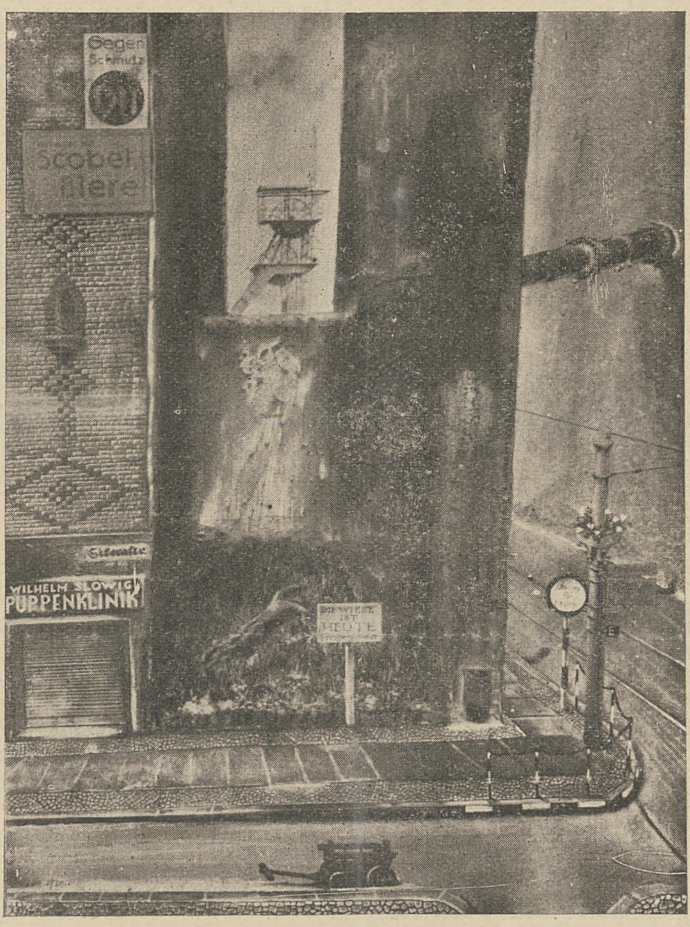
„...prace graficzne Linkego, wystawione w Salonie Koterby, ż a d n y c h p r e t e n s y j d o m a l a r s t w a n i e m a j ą. ...W malarstwie współczesnem mamy do czynienia z przeżyciem zupełnie pozbawionem pojęć i znaczeń, opartem całkowicie na wrażeniach zmysłowych i związanych z niemi czuciach i wyobrażeniach; w pracach Linkego natomiast wyczuwamy inną logikę w porządkowaniu doznań i asocjacyj zmysłowych, które stanowią dla twórcy jedynie surogat dla wyrażenia pewnej treści ideologicznej, nie zawsze dającej się odcyfrować z dość skomplikowanego montażu poszczególnych scen i akcesorjów. Pod tym względem środki plastyczne, któremi Linke rozporządza, najczęściej zawodzą". (Konrad Winkler w „Pionie").

„... Prace graficzne Bron. Linkego w Salonie Koterby (Kredytowa 2 4) są zapewne zagadką dla zwiedzających tę wystawę miłośników sztuki...

Bliższy jest... Linke znanym metodom fotomontażu, gdzie zestawienie przeróżnych zdjęć fotograficznych, mających niejako znaczenie symboliczne — narzuca nam pewien ogólny obraz, sugerujący jakąś myśl, hasło, ideę. W tym wypadku atoli wpada Linke w konflikt z tradycyjnem porządkowaniem i komponowaniem rzeczywistości widzianej w sztukach plastycznych. Artysta przestaje jasną i zwięzłą treścią plastyczną przemawiać do widza, uciekając się do symboliki i zawiłych, skomplikowanych skojarzeń myślowych. C o g o r s z e, p o ś w i ę c a o n p r z y t e m s w e ś r o d k i a r t y s t y c z n e — a s z t u k a, k t ó r ą w y z b y w a s i ę s w y c h ś r o d k ó w, t e m s a m e m w y z b y w a s i ę w s z y s t k i e g o". (W. w „Nowej Rzeczpospolitej").

„...dysproporcja między tem, co artysta zamierzał, a co rzeczywiście dokonał w podaniu tej treści i uprzystępnieniu jej widzowi — uderza na pierwszy rzut oka — mimo, iż Linke nie cofa się przed niczem, skazując nawet na ofiarne całopalenie jednolitość plastyczną swego utworu. Z tej przyczyny kompozycje te bez pisanego komentarza przeważnie obejść się nie mogą. T a w a l k a o z d o b y c i e w ł a s n y c h ś r o d k ó w p l a s t y c z n e j e k s p r e s j i m a j e d n a k o w o ż t ę d o b r ą s t r o n ę, ż e z m u s z a a r t y s t ę p o p r z e z „b e b e c h o w a t o ś ć" w y o b r a ż o n y c h n a s t r o j ó w i s y t u a c y j, d o s a m o d z i e l n e g o r o z w i n i ę c i a w ł a s n y c h z a s o b ó w d u c h o w y c h, z k t ó r y c h r o d z i s i ę n o w a i o r y g i n a l n a f o r m a a r t y s t y c z n a.

Szlachetność popędów, wyrobienie społeczne i czuła wrażliwość tego artysty na beznadziejną dolę ludu pracującego — są tutaj godne specjalnego podkreślenia i świadczą o budzącym się sumieniu społecznym w sferze stojącej dotychczas jak najdalej od tego rodzaju zagadnień — w sferze artystycznej". (Konrad Winkler w „Robotniku").



Bronisław Linke: Odpoczynek

I

Bronisław Linke wystawił po dłuższej przerwie plon swej dwuletniej pracy — cykl kompozycyj graficznych „Górny Śląsk". Dyletant, pragnący śledzić za każdym objawem życia artystycznego, odwiedza wielokrotnie wystawę i pragnie nauczyć się od fachowców, jak należy ocenić sztukę Linkego. Łowi więc każdą recenzję, wycina, czyta, notuje. I dowiaduje się wielu ciekawych rzeczy, ale nie o Linkem, lecz o krytykach plastyki.

Oczywiście, recenzje różnią się sumiennością, fachową wiedzą, poziomem i odpowiedzialnością wobec czytelnika i wobec plastyka. Gdy jednak dyletant pragnie na podstawie tych recenzyj dowiedzieć się, czy Linke jest artystą, czy też nie, staje wielce zakłopotany. Bo jeden recenzent twierdzi, że: „Linke **słabo rysuje,** niemal zupełnie **nie odczuwa koloru,** nic nie wie o konstruowaniu tematu, o kompozycji. Kartony Linkego, zalane szuwaksem, obfitują w brudne plamy i cienie, w zestawienia kolorów przypadkowo dobranych, bez żadnego malarskiego sensu. Jest to poprostu grafomaństwo plastyczne". Zdaje się, że sąd bezapelacyjny. Atoli laik stwierdza ze zdziwieniem, że krytycy o takiej kulturze, jak Wacław Husarski utrzymują, iż Linke, „to niewątpliwie temperament literacki, obdarzony tylko przez naturę **talentem do** wyrażania zapomocą rysunku i koloru", jak Mieczysław Wallis twierdzą, że Linke **„zdumiewa** wirtuozowskim, precyzyjnym **rysunkiem** i mistrzowstwem w nastrojowem posługiwaniu się **kolorem",** że wreszcie jak p. (m. st.), bardzo wobec twórczości Linkego krytycznie usposobiony, piszą iż „Linke jest artystą o dużych zdolnościach — dwa żółte ołówki, wyrysowane na autoportrecie są dostatecznym dowodem jego **umiejętności** patrzenia i **rysowania".** A więc, w tak podstawowej, elementarnej sprawie, jak umiejętność rysowania, aż tak przepaściste różnice zdań?

Gdy dyletant pragnie dowiedzieć się od fachowców i nauczyć się podstawowych terminów sztuk plastycznych, gdy pragnie, na podstawie tych kilkunastu recenzyj zdać sobie sprawę z wiedzy ludzkiej o sztukach plastycznych, staje bezradny wobec Wieży Babel. Czyta więc w recenzji Konrada Winklera w „Robotniku" o tem, że poprzez sztukę Linkego „rodzi się nowa i oryginalna forma artystyczna", a potem w recenzji Konrada Winklera w „Pionie" nie znajduje już tak bardzo zaszczytnego wyróżnienia, zaś z recenzji p. W. w „Nowej Rzeczpospolitej" dowiaduje się zdumiony, że Linke „poświęca swe środki artystyczne — a sztuka, która wyzbywa się swych środków, tem samem wyzbywa się wszystkiego". Więc dyletant skromnie zapytuje: czy Linke jest pionierem „własnych zasobów duchowych, z których rodzi się nowa i oryginalna sztuka artystyczna", czy też „wyzbył się wszystkiego". A jeśli dwóch panów Winklerów nie może dojść między sobą i z trzecim panem W. do porozumienia — cóż dziwnego, że taka różnica istnieje między plastykami, nie pozostającymi w pokrewieństwie?

Dyletant cośniecoś słyszał o różnicach zdań w innych dziedzinach nauki, o różnicach często podstawowych. Ale zawsze dyskusja daje się tam sprowadzić na udeptaną ziemię pewnych mniej lub bardziej objektywnych kryterjów. Na Wieży Babel wtajemniczonych w tajemną sztukę plastyczną brak poprostu wspólnego języka. Szukając przyczyn istnienia owego chaosu, dochodzi do ciekawych wniosków.

W dziedzinie krytyki plastyki w znacznie większym stopniu jeszcze aniżeli w krytyce literackiej nie została przeprowadzona linja demarkacyjna między „badaczami", których zawód nie jest związany z jakąkolwiek nauką i którzy nie wyszli jeszcze poza granice różdżkarstwa estetycznego, w przekonaniu, że są obdarzeni jakąś ponadziemską, nadprzyrodzoną mocą, pozwalającą im w drodze intuicji określać, czy dany artysta posiada talent, czy też nie — a krytykami, uznającymi zdobycze współczesnej nauki. Tamci „badacze", pozostając na poziomie średniowiecznych znachorów, nie zdołali jeszcze łaskawie zauważyć, że związane ze sztuką dziedziny, jak socjologja sztuki, estetyka, psychologja i t. d. poczyniły wielkie postępy. Nie zechcieli łaskawie zwrócić uwagi, że różdżkarstwo w odszukiwaniu talentów należy już do zamierzchłych czasów. Natomiast łaskawie obdarzają nas swojemi subjektywnemi, lirycznemi utworami, będącemi raczej odzwierciedleniem nie tyle wartości dzieł sztuki, ile przypadkowych zjawisk, oddziaływających na psychikę w chwili patrzenia na dzieło sztuki.

Historja zna liczne przykłady lirycznych ekspresyj na tle utworów plastycznych. Znamy szereg inwokacyj, sonetów, liryk na tle znakomitych dzieł malarskich lub rzeźb. Ale utwory takie należą do poezji, piękne metafory poetyckie, rytm i tym uprzyjemniają nam ich lekturę. Należy żałować, że część krytyków, święcie wierzących w swe posłannictwo i posługujących się tylko swą intuicją, zechciała opuścić dziedziniec poezji, gdzie znalazłaby świetne pole dla popisu w liryce refleksyjnej.

Odjazd krytyków plastycznych — związanych zresztą z modną gdzieniegdzie filozofją, negującą znaczenie nauki i przyjmującą tylko irracjonalistyczne przesłanki — do świata poezji, zwolniłby nas, dyletantów, od obowiązku szukania w licznych „recenzjach" objektywnej prawdy.

Dla czytelnika jest równie ważną rzeczą znajomość tego, **co** krytyk pisze, jak również i tego, jaki jest **jego punkt wyjścia, metoda pracy.** Dopiero po zbadaniu metody pracy rozlicznych recenzentów można zorjentować się w przyczynach różnicy zdań i to przyczynach, wykraczających poza klikowe zmowy, grzecznościowe recenzje, chwilowe nastroje lub też potrzebę przenoszenia do prozy metafor poetyckich pana recenzenta.

Jeśli krytyk posługuje się metodą socjologiczną, wówczas czytelnik wie, iż krytyk ten nie tylko bagatelizuje, ale odrzuca pozasocjologiczne wyjaśnianie spraw tematyki i rozwoju formy, że sprowadza pozornie irracjonalistyczne pierwiastki do przesłanek, dających się świetnie w sposób recjonalny wyjaśnić. Rzecz jasna, krytyk po dłuższem obcowaniu z dziełami sztuki nabiera kultury, znawstwa, wyczucia i zdolności głębszego odczuwania. Nie jest to żadna magiczna, nadprzyrodzona, mistyczna siła, skoro — niech pięknoduchy nie mają tego za złe — **analogiczne estetyczne** przeżycia ma stary szewc, spoglądający na pięknie wykończony bucik.

Tak samo jeśli krytyk sztuki posiada inny, nie socjologiczny punkt patrzenia na rzeczy, ale wypływający z naukowej hipotezy lub teorji, dyskusja z nim może wkroczyć na udeptaną ziemię pewnych objektywnych pojęć, terminów i wyobrażeń. Ale z subjektywistyczną, irracjonalną krytyką nie można dyskutować. Conajwyżej należy ją skolei przesłać do recenzji z punktu widzenia jej własnych wartości formalnych.

II

W związku z określeniem metody pracy krytyka, dla zrozumienia jego ujmowania dzieła sztuki rzeczą najbardziej istotną jest pewna dyscyplina semantyczna, to znaczy brak dowolności w używaniu terminów. Dowolność taka istnieje u nas nie tylko w dziedzinie krytyki plastyki, ale i w każdej innej dziedzinie piśmiennictwa.

Większość dyskusyj na łamach perjodyków przekształciła się ostatnio w wielki bal maskowy, podczas którego dyskutanci dowolnie zmieniają maski i terminy. Niema ani jednego terminu, co do którego w toku dyskusji nie okazałoby się, że użyje go według własnego widzimisię.

Zdawałoby się więc naprzykład, że termin „marxizm" został już dostatecznie ustalony. Zdawałoby się, że twórczość Stanisława Brzozowskiego daleko odbiega od tego, co nazywamy marxizmem. Lecz zjawia się rewelator, nazywający Brzozowskiego marxistą, który wytrwał w socjalizmie do końca. Gdy na tego rodzaju rewelacje z balu maskowego zwraca się uwagę, że jednak ani filozoficznych, ani społecznych, ani krytyczno-literackich dzieł Brzozowskiego nie można określić mianem marxizmu, rewelator oburzony woła: „marxizm to nie materjalizm dialektyczny, a pozatem Brzozowski uwielbiał Marxa".

Rzecz jasna, jeśli słoniem nazwiemy kręgowca o dużych rozmiarach, lubiącego zajadać orzeszki — niżej podpisany nie podejmuje się w żadnym wypadku udowo-

dnić, że sam nie jest słoniem. Jeśli nazwą marxisty obejmiemy wszystkich tych, którzy hołd składali genjuszowi Marxa — to Jan Mosdorf, wielokrotnie wyrażający się z uznaniem o Marxie podpadnie pod miano marxisty. Jeśli marxizm pozbawić jego filozofji — a tem samem jego teoretyczno-poznawczych koncepcyj i jego poglądu na sztukę — jeśli odjąć marxizmowi klasową teorję, jeśli wreszcie narodowy socjalizm nazwać socjalizmem (skoro sam się tak nazywa), to Brzozowski był marxistą i socjalistą, tak jak niżej podpisany jest słoniem. Ale walka klasowa, konsekwentnie wdzierająca się w każdą dziedzinę życia społecznego i sztuki, to są kły marxizmu, a dialektyka i materjalizm, to jego trąba, przy której pomocy leje zimną wodę na mętne łby. Coprawda toczono zaciekłe walki w wiedeńskim ruchu socjalistycznym, spierając się o to, czy neokantyzm Maxa Adlera da się pogodzić z teorją klasowej walki i czy można go nazwać marxizmem, ale jeśli nawet zająć najbardziej „liberalne“ stanowisko, Brzozowski nie był neokantystą, lecz solipsystą; Brzozowski razporaz odżegnywał się od teorji walki klas; Brzozowski odrzucił marxizm nie w jakichś „niedociągnięciach“, „metodycznych brakach“, lecz w **podstawowych, zasadniczych sprawach**; w czyim więc interesie leży ten improwizowany bal maskowy, z przebieraniem się w kostjumy? Śmiem twierdzić, że ani w interesie marxistów, ani zdawałoby się w interesie niemarxistów.

Recenzje specjalistów od tajemnej sztuki plastycznej roją się od terminów technicznych, specjalnych. Niektórzy nazywają Linkego fotomontażystą, zapominając o tem, że fotomontaż składa się z części autentystycznych, gdy w kompozycjach Linkego „Górny Śląsk“ **autentyzm jest tylko trzecioplanowem tłem**, gdy elementem podstawowym jego cyklu są wynaturzone, wykoślawione, zmienione do niepoznania, skarykaturowane postaci. Recenzent nazywa sobie cykl Linkego malarstwem, zapominając o tem, że to jest przecież tylko grafika z pewnemi rudymentami malarskiemi, a jakby się rzecz miała, gdyby krytyk literacki recenzował poezję z punktu widzenia prozy, a powieść z punktu widzenia poematu epickiego?...

Skoro już sprawa zeszła na tory używanych terminów, niech wolno będzie skierować do panów fachowców jedną prośbę: zwrócił już zresztą swego czasu na to uwagę J. E. Dutkiewicz w słusznym naogół artykule p. t. „Atrofja krytyki“ na łamach „Pionu“, pisząc:

„Określenia, jak: „miłe w kolorze“, „śmiałe w rozstrzyganiu płaszczyzn barwnych“ lub „artysta kroczy poprzez budowę formy kolorowej ku zdobyciu własnego wyrazu“ — nabierają wartości kuponów, jakie się obcina z mało wartościowych akcyj współczesnej krytyki. Są to oczywiście formuły, nic nie mówiące“.

III

Warunkiem zatem wstępnym dla zrozumienia recenzji jest znajomość punktu wyjścia i metody pracy krytyka, jak również sumienne używanie przezeń terminów. Warunkiem wstępnym zgłębienia pracy artysty przez krytyka, jest zrozumienie założeń jego sztuki. Tu dobiegamy do najważniejszego punktu dyletanckich rozważań: pan m. st., zresztą krytyk o zasłużonej renomie, tak oto ocenia obraz „Odpoczynek“ (p. reprodukcja):

„Wielbiciel sztuki Linkego, człowiek o wysokiej inteligencji, wskazał na obraz, przedstawiający wypoczynek na skrawku trawy — skrawek ten ledwie żyje pod olbrzymią ścianą wielkich budowli fabrycznych i domów. Sens tego obrazu jest zbyt mało widoczny — uwiędły, zapewne, poszarzały trawnik nie występuje z dostateczną siłą plastyki, byśmy mogli go dostrzec, ściana przetwarza się zbyt łatwo w szarą plamę koloru, człowiek maleńki nie zwraca na siebie uwagi widza“.

O co chodziło Linkemu w obrazie „Odpoczynek“? Linke pragnął wykazać przytłaczającą moc miasta, upostaciowanego w szarych plamach muru, w zmierzwionej trawie między rezerwuarem benzyny, a wielką reklamą Bier-Scobel, chodziło o ukazanie znikomości drobnej postaci robotnika, ginącego na dwuwymiarowej, plamisto-szaro-brunatnej powierzchni. Zatem to, co szanowny krytyk chciał ocenić, jako brak planszy Linkego, jest z punktu widzenia założeń samego artysty koniecznością jego „ideologicznej“ treści. Uwiędły, poszarzały skrawek trawy zlewa się z szarzyzną murów, kąt między murami nie posiada głębi, człowiek nie zwraca uwagi — wszystko z premedytacją.

Jakież są bowiem tematyczne założenia Linkego? Linke jest wstrząśnięty rzeczywistością Śląska jako patrjota i te patrjotyczie elementy twórczości Linkego bardzo słusznie podkreślił Wacław Husarski. Jest oburzony germanizacją Śląska po tylu latach niepodległości. Jest przygnębiony, jako człowiek uczciwy, który ujrzał zbliska potworność wyzysku górników. Jest wreszcie wstrząśnięty jako drobnomieszczański inteligent, który widzi wokół siebie potworność i ohydę wielkiego przemysłu, jego potęgę i grozę. Ale Linke nie ujrzał drogi wyjścia z tej potworności, a zarazem nie szuka łzawo-sentymentalnych rozstrzygnięć, łatwizn, lecz pragnie jak najsilniejszemi środkami ekspresji dać wyraz swoim przeżyciom.

Te oto pokrótce przedstawione założenia tematyczno-ideologiczne uwarunkowały formalną stronę twórczości Linkego. Słusznie Konrad Winkler z „**Robotnika**“ podkreślił, że Linke szuka nowych form artystycznych. Stalugowe malarstwo nie wystarcza mu dla dania wyrazu swej prawdzie społecznej.

Nie jest pierwszym pionierem w tej dziedzinie. Zarzucają mu czy też przypisują pierwszeństwo w nadmiernem posługiwaniu się napisami w planszach. Panowie fachowcy nie przypomnieli sobie, że niejaki, znany skądinąd, Francisco Goya y Lucientes w swojej późniejszej twórczości, szczególnie „Caprichos“ wprowadził napisy, bez których trudno te rysunki zrozumieć. Oto „El suenio“ — „sen“ z wielkim napisem „El Suenio de la razon produce monstruos“. Zaznaczmy mimochodem, że przełom w twórczości Goyi wywołał oburzenie niektórych współczesnych mu krytyków, którzy zarzucali artyście „grafomaństwo plastyczne“. Oto co na ten temat pisze José Bergamin („Cahiers d'Art“, nr. 1—3, 1937):

„Krytyka oceniła, iż grafika Goyi nie ma żadnej wartości, że trudno w niej cośkolwiek rozpoznać. Nic sobą nie przedstawia, gdyż wyobraża nicość, wypraną ze wszystkiego. „Niema tu ani rysów, ani ciał, ani kolorów“ — powiada pewien krytyk w związku z tą sztuką Goyi — „to ruina malarstwa“. I to jest prawda: ruina, kaprys i obłęd. Bo to ludzka prawda, naszej najbardziej żywotnej myśli“.

Goya był malarzem tej epoki w życiu społecznem Hiszpanji, gdy dojrzewała, wybuchła i zgasła, zduszona pierwsza rewolucja, a zarazem epoki, w której do Hiszpanji wprowadzono znane już gdzieindziej oddawna środki techniczne (pierwsza litografja w roku 1819). Epoka nasza, również brzemienna w doniosłe wydarzenia, musiała z konieczności wywołać pewne zatarcie granic między różnemi, technicznemi dziedzinami sztuki, a szczególnie sprzęgła sztuki plastyczne z więzią społecznych przemian. Jeśli Konrad Winkler twierdzi, że „w malarstwie współczesnem mamy do czynienia z przeżyciem pozbawionem zupełnie pojęć i znaczeń, opartem całkowicie na wrażeniach zmysłowych i związanych z niemi czuciach i wyobrażeniach“ — jest zapewne jeszcze zapatrzony w formizm, który uogólnia do rozmiarów całego malarstwa współczesnego. Ale jeśli nawet tylko o formizm chodzi, wystarczy przeczytać poświęcony mu numer „Głosu Plastyków“, by przekonać się, zresztą z wypowiedzi szeregu formistów, że rola jego przeżyła się już zupełnie. Prócz formistów maluje jednak niejaki Pablo Picasso, który w ciągu ostatnich dwóch lat stworzył szereg utworów, świadczących o zupełnem zerwaniu ze „współczesnem malarstwem“ w zrozumieniu Konrada Winklera. Wystarczy obejrzeć 14 akwafort Pablo Picassa „Sen i kłamstwo Franco“, wystarczy również obejrzeć „Guernikę“ Picassa, by przekonać się, że „współczesne malarstwo“ ma do czynienia również z przeżyciami, opartemi o szereg pojęć i znaczeń.

Negowanie tej prawdy przypomina iluzję dziecka, które zasłania sobie oczy rączkami i woła: „niema cioci, niema cioci“. Niektórzy krytycy plastyki sądzą, że zasłaniając oczy na fakt rozwoju takiej sztuki, potrafią zaprzeczyć jej istnieniu.

Jeśli chodzi o Linkego, cykl jego „Górny Śląsk“ jest próbą bezpośredniego wywołania poprzez środki plastyczne nie tylko uczuć i wyobrażeń, ale również pewnych łańcuchów myślowych, skojarzeń racjonalnych. Jego grafika oddziaływa nasamprzód wizualnie, ale zmusza wnet do racjonalnego zgłębienia i zrozumienia sensu obrazu.

Dlatego też — świadomie i z premedytacją — pozwala sobie na asymetrję w konstrukcji, na pewne nagromadzenie na jednej planszy dwóch, trzech obrazów, których więzią łączącą nie jest kompozycja plastyczna, lecz motyw myślowy o charakterze literackim.

Toteż w założeniu jego, tak samo jak w użyciu szeregu różnych środków techniczno-rysowniczych, mamy elementy dwóch dziedzin sztuki: plastyki i literatury. Wobec tego, że w życiu współczesnem widzi tylko chaos, wielką mordownię, kotłowisko — pragnie dać wyraz temu obłędowi, tej ruinie, temu kaprysowi w swej sztuce. Mówiąc słowami José Bergamina: „to ruina, kaprys i obłęd, gdyż taka jest nasza rzeczywistość“, dodajmy, widziana oczyma Linkego.

Uwidocznia się to na przykładzie obrazu „Przekrój“. Nagórze, w pokoiku staroświecko i groteskowo przystrojonym, ulicznica na kolanach urzędnika celnego o głowie osła. Obok: ubikacja, z której ściekają ekskrementa do kopalni. W kopalni górnik kilofem kruszy węgiel. Dolna i górna część tego obrazu nie są połączone logiką sztuki plastycznej: kontrastem kolorów, kompozycją, którąby te dwie części spajała w jedną wizualną całość. Linke daje na jednym obrazie dwie kompozycje, wybrane nie autentystycznie, ale świadomie umiejscowione na jednej planszy, i każe widzowi złączyć je ze sobą drogą racjonalnego myślenia.

Nie wolno nazywać cyklu Linkego malarstwem, dlatego, iż brak w jego utworach podstawowej wartości malarstwa: wyzyskania gamy kolorystycznej i światła. U Linkego kolor jest środkiem pomocniczym, nie zawsze koniecznym.

Z tych założeń autora wynika jego stosunek do koloru: podmalowanie ołówka u Linkego służy tylko do podkreślenia asymetrji, chaosu, arytmem jednostek kolorystycznych. Jeśli krytyk oburza się na rażący dobór kolorów, zapomina, że założeniem artysty było właśnie uwydatnienie drogą wplątania w biel-czerń ołówka, tempery lub akwareli — chaosu widzianego świata. I jeśli tu i ówdzie rzuca plamy czerwieni, zmieszane w kakofonję barw z zielenią, to świadomie dobiera kolory tak, by nie wywołać wrażenia jakiejś rytmiki barwnej.

Tym założeniem swojej sztuki w „Górnym Śląsku“ pozostał Linke wierny i wytrwał z niezłomną konsekwencją do końca. Ten upór znamionuje indywidualność artysty, kościec i nieugięty kark. A rzecz to w czasach konformizmu i serwilistycznych ukłonów, zarówno niektórych artystów, jak i krytyków — bardzo cenna.

IV

Po określeniu założeń plastyki Linkego w cyklu „Górny Śląsk“ pozostaje jeszcze sprawa słuszności tych założeń: wypada stwierdzić, że zarówno tematycznie, jak i ze względów formalnych kryją one wielkie niebezpieczeństwa.

Łączenie elementów formalnych dwóch odmiennych gałęzi sztuki nie zawsze wpływa dodatnio na poziom artystyczny. Albowiem artysta z chwilą, gdy może zastąpić element plastyczny — literackim lub naodwrót, lekceważy sobie często pełny wyraz na płaszczyźnie jednych możliwości formalnych. Jeśli naprzykład we wspomnianym obrazie „Przekrój“ Linke zastąpił konstrukcję całościową obrazu łącznikiem literackim — należy zbadać, czy dzieło jego nie zyskałoby wiele, gdyby wszystkie możliwości plastyczne zostały wyczerpane, i to zarówno w dziedzinie kolorystyki, jako też konstrukcji tematu.

Gdy wrócimy do tematyki i sposobu ujęcia „ideologicznego“ tematu, drobnomieszczański punkt wyjścia cyklu określa jego charakter. Nie róbcie z Linkego plastyka proletarjackiego: Linke nie patrzy na „Śląsk“ ani oczyma proletarjusza, ani oczyma socjalisty. Brak wyjścia ze świata, oglądanego oczyma artysty, zapędził Linkego do świata cudactw i obsesji (naprzykład sedesy). „Górny Śląsk“ w stosunku do poprzedniej twórczości artysty jest jednak krokiem w drodze do wyzwolenia ze świata zmorowatości.

Te stwierdzenia nie oznaczają ani dyskryminacji, ani chęci narzucenia artyście rzekomo jedynej formy realistycznej. Twórca dochodzi do rozwiązania zagadnień społecznych swoją własną drogą. Ostatnie utwory Pabla Picassa są bez wątpienia najjaskrawszym dowodem tego, jak różny może być formalny punkt wyjścia plastyka przy rozstrzyganiu niepokojących go zagadnień.

Jerzy Boreisza

WŚRÓD KSIĄŻEK

Mały Rocznik Statystyczny, 1938. Warszawa, Główny Urząd Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej (1938); str. XXIV i 406 i 2 nl. i 4 mapki.

W porównaniu z rokiem ubiegłym najcenniejsze nasze wydawnictwo statystyczne nie uległo poważniejszym zmianom. Znikły zeń wprawdzie — nieraz tak efektowne! — wykresy, ale zyskała na tem „sucha rzeczowość“. „Mały Rocznik“ cierpi na „brak przestrzeni“ i zdradza niejakie ekspansywne tendencje: każde nowe jego wydanie jest obszerniejsze od poprzedniego. Jak stwierdza w przedmowie dyrektor Szturm de Sztrem, to powiększanie rozmiarów wydawnictwa idzie po linji życzeń czytelników. Zjawisko zupełnie zrozumiałe: każdy szuka w „Małym Roczniku“ dziedziny, która najżywiej go obchodzi, i chciałby tę właśnie dziedzinę widzieć możliwie szeroko potraktowaną.

„Mały Rocznik“ jest „końcem, który wieńczy dzieło“ dorocznej pracy Głównego Urzędu Statystycznego. W tej czterystostronicowej książeczce kieszonkowego formatu ogniskuje się szary, codzienny trud kilkuset urzędników, jak i naukowy wysiłek badawczy najlepszych polskich statystyków. W licznych innych wydawnictwach G. U. S. znajdujemy te same kompleksy problemów, rozbite jedynie, poddane szerszej, szczegółowszej i głębszej analizie.

Co roku zwiększona objętość „Rocznika“ — co roku rosnący krąg jego czytelników. Te dwa fakty pozostają, oczywiście, w jak najściślejszym związku przyczynowym ze sobą. I to w związku obustronnie działającym, dodajmy. Ważną, aczkolwiek niewymierzalną rolę odgrywa tu każdorazowo prasa jako pierwszorzędny czynnik pośredniczący. Decydujące są jednak wysiłki Głównego Urzędu Statystycznego, który, czyniąc swą publikację wciąż bogatszą, dba o jej taniość. Pierwszy „Mały Rocznik 1930“ kosztował 2 złote 40 groszy. Od 1934 r. kosztuje niezmiennie 1 złoty. Na przestrzeni dziewięciu lat liczba jego stron wzrosła ze 192 do 430, liczba tablic z 304 do 580. Jednocześnie nakład powiększony został pięćdziesięciokrotnie: z 2.000 do 100.000 egzemplarzy!

Cyfry te wykreślają rekordowy, jak na nasze stosunki, rozwój wydawnictwa. Sam zaś rosnący jego nakład zdaje się przeczyć spotykanej często opinji, jakoby czytelnicy w Polsce stronili od lektury poważnej. Nie o łatwą książkę widocznie chodzi, lecz o tanią.

Aleksander Hertz. Socjologja współczesna. Warszawa, „Wiedza i Życie“, 1938; str. 228 i 4 nl.

Stanowczo nie można powiedzieć, aby książka Hertza miała jakąś „linję generalną“. Autor jej wydaje się naogół bliski idealizmowi socjologicznemu Znanieckiego, ale nie jest też w stanie opędzić się potężnym wpływom marxowskim. Twierdzi, że „...wyobrażenia nasze stają się podstawowym składnikiem świata społecznego, w którym uczestniczymy“. Jednocześnie widzi np. zasadniczą przeciwstawność światopoglądów rentjera i bezrobotnego — z czego nietrudno wyciągnąć wniosek o klasowej podstawie „podstawowego składnika świata społecznego“, który (t. zn. składnik) w ten sposób okazałby się nie „podstawowym“ bynajmniej, lecz wtórnym.

Ulega też Hertz bardzo silnie sorelowskiej teorji mitów. Cała ta teorja, mimo szerokiego rozgłosu, jakim się cieszy, jest w gruncie rzeczy naukowem prostactwem. Nacisk, jaki Pareto i Sorel kładą na irracjonalność*) motorów działalności ludzkiej, robi wrażenie reakcyjnego manewru, który chce świat społeczny przedstawić jako infernalną, bezrozumną „waśń żywiołów“. Pseudologika (prelogika) derywacyj paretowskich stanowi doskonałą antytezę heglowskiego panlogizmu. Ten idealistyczny panlogizm odegrał ongiś bardzo doniosłą, postępową rolę w historji ludzkiej myśli. Rzekome zaś demaskatorstwo doktryn społecznych przez Pareto (i Sorela) w kolebce już było reakcyjnym fałszem. Ideologiczny prekursor faszyzmu oparł się w swem rozumowaniu na absolutnem przeciwieństwie instynktu i rozumu, czynników irracjonalnych i racjonalnych. Jest to nonsens z punktu widzenia „wszelkiej“ ewolucji. Z punktu widzenia ewolucji dialektycznej tembardziej, skoro „z niewiedzy powstaje wiedza“. Dlatego przypinanie mitycznych skrzydełek wszystkim społecznym działaniom, dążeniom, pragnieniom, doktrynom i programom jest zabawą naiwną, ale płodną, bo szkodliwą. Zwłaszcza czasy dzisiejsze wymagają demityzacji mitów, a nie mityzacji najlepszych nawet płodów ludzkiego umysłu. Wbrew pozorom, sorelowska teorja mitów raczej ułatwia sukcesy mitom (w rodzaju choćby „Mitu XX wieku“), niż utrudnia. Oczyszcza dla nich pole: skoro wszelkie poznanie rzeczywistości społecznej jest zgóry umitycznione, czemuż nie zaufać tej właśnie doktrynie, która sama przyznaje się do swej mityczności? Mitem czyli bajką jest jednak także i teorja mitów. Nie tak znów trudno odmityzować ją przez ukazanie jej ekonomiczno-socjalnych korzeni. Ale na tę przyjemną operację nie mamy tu miejsca.

Niezbyt poważne wrażenie robi w książce Hertza wielokrotne podkreślenie rozdźwięku między socjologją naukowców, a refleksją socjologiczną profanów. Można zająć wręcz odwrotne stanowisko i podkreślić, że żadna nauka nie odbiega tak daleko od wątpliwego ideału „wieży z kości słoniowej“, jak socjologja. O powadze socjologji nie decydują też np. scholastyczne rozważania na temat objektywnego istnienia ponadindywidualnego bytu zbiorowego, stanowiącego jedność czy nawet osobowość, a zwanego „grupą społeczną“. Najrzetelniejszy socjolog może nie przywiązywać wagi do podobnych definicjonalnych zagadnień. Zwłaszcza, że chodzi tu o takie pojęcia, jak „byt“, „osobowość“ i t. p.

Jakkolwiek praca Hertza doskonale ilustruje nam słynne powiedzenie o „eklektycznej zupce“, to jednak niepozbawiona jest pewnych walorów. Wiele pojedyńczych uwag, w niej rzuconych, ma nawet swą doniosłość. Jak chociażby jedna z końcowych, stwierdzająca, że „demokracja sprzyja socjologji, autokratyzm jest jej przeciwny“.

Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury, pod redakcją prof. **Zygmunta Łempickiego.** Tom V, zeszyt 11. Lwów, Książnica-Atlas, 1938.

Po dłuższej, niż zazwyczaj, przerwie ukazał się jako jeden z ostatnich zeszyt 11 tomu V „Świata i Życia“. Obejmuje on 2/3 tekstu litery „O“ i prawie całą literę „P“, bardzo trudną z encyklopedycznego punktu widzenia. Sposób, w jaki redakcja pokonała wielorakie trudności, nie nasuwa zastrzeżeń. Była zaś obarczona dodatkowo daleko idącą selekcją materjału i słownikową prawie lapidarnością treści. Co nie przeszkadza, że np. „orogeneza“, „osmoza“, „ostryga“, „pacta conventa“, „palingeneza“, „pantograf“, „partenogeneza“, „petitio principii“, „poliandrja“, „potencjał“ i t. d. — są w tym zeszycie omówione dokładniej, niż w bardzo dobrym „Słowniku wyrazów obcych“ Arcta. W „Świecie i Życiu“ (por. zasadniczą recenzję w „Sygnałach“ (nr. 42) z 1 kwietnia b. r.), zyskamy encyklopedję, którą śmiało postawić można obok najlepszych europejskich wydawnictw tego typu.

Zygmunt Jarosz

*) Ta „pozarozumowość“ jest u obu pisarzy nader podobnej marki i świadczy o ich głębokiem pokrewieństwie duchowem; tylko z jej koncepcji wyrosnąć mogła teorja mitów. W książce Hertza, gdzie tyle miejsca zajmuje Pareto i mity, ani razu nie zostało wymienione nazwisko Sorela — mankament formalnej zresztą natury.

RÓD JUDYMÓW

Jan Nepomucen Miller poruszył w poprzednim numerze „Sygnałów“ („O kontuszowym humanitaryzmie pisarzy polskich“) kapitalne zagadnienie, niesłychanie ważne nie tylko dla zrozumienia Żeromskiego, ale i dla poznania niektórych problemów współczesnej Polski. Kapitalność tego zagadnienia polega nie tylko na śmiałem nazwaniu rzeczy po imieniu, ale pobudza do konsekwentnego wyciągnięcia praktycznych wniosków z poruszonej sprawy. „Uogólnienie“ Millera brzmi: „cała dotychczasowa literatura polska jest z ducha kontuszowo-szlachecka“. Nie obejmując tem uogólnieniem całej współczesnej, **obecnej literatury,** ale literaturę naszą z okresu „Młodej Polski“ włącznie, jesteśmy na śmiałym tropie jej społecznego zakłamania, nieporadności, niezrozumienia **zagadnienia chłopskiego i robotniczego w jego całej prawdzie dziejowej ze wszystkiemi konsekwencjami.**

Ani Kasprowicz, ani Wyspiański, Reymont, Orzeszkowa, Żeromski, Prus, Dygasiński, Konopnicka — słupy mocne, na których stała ubiegła, choć nie zamknięta jeszcze wcale, epoka polskiej literatury, pisarze, którym bardzo słusznie Miller przyznaje walory wielkiego współczucia, filantropji w uczciwym gatunku i odczucia niedoli ludowej, nie byli pisarzami, których masy ludowe mogłyby uważać za swych prawdziwych piewców, piewców nie tylko niedoli i poniżenia, krzywdy i wyzysku, ucisku i przemocy, ale **dumy klasowej, siły i potęgi walki o wyzwolenie, pewności siebie, świadomości klasy, która się bije, która chce i musi zwyciężyć i wie, jak to zrobić dobrze.** Polskie przedwojenne masy ludowe nie miały swego wielkiego Gorkiego.

Spod tego „uogólnienia“ Millera należy wyjąć natomiast choćby dwóch pisarzy: Władysława Orkana i Andrzeja Struga. „W Roztokach“ Orkana i cały cykl rewolucyjny Stuga, jego „Ludzie podziemni“, są niewątpliwie przez swój ładunek prawdy dziejowej, przez swój ładunek ideowy, całkowitem zaprzeczeniem niezrozumienia, nieporadności, filantropijnych łez i kontuszowych humanitaryzmów Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego i wielu innych; są rzetelnym wyrazem stosunku do **istotnych zagadnień** ruchu chłopskiego i robotniczego.

Miller walcząc o godność i dumę klasową proletarjusza i chłopa, który „może mieć również swoją dumę, godność, żądzę władzy i panowania narówni z nimi“ (t. j. z „panami“), chce powiedzieć, że typem prawdziwego pisarza proletarjackiego może być ten pisarz, który ujawnia klasowe dążenie proletarjatu i chłopów do objęcia władzy, dążenia, **które już są w tym proletarjacie**; proletarjat jest klasą dojrzałą historycznie i **władzą tą nie myśli dzielić się z panami.** Proletarjat nie chce być ciągle tylko „ofiarą“, zasługującą na „współczucie“ w dziełach pisarzy, ale czas najwyższy, żeby był świadomym swoich celów i zadań **zdobywcą!**

Biorąc za przykład Judyma z „Ludzi bezdomnych“, Miller trafnie obnażył słabość Żeromskiego i tych wszystkich, którzy uważali Judyma za bojowca proletarjatu, za klasycznego przedstawiciela klasy zbuntowanej i bohatersko walczącej. Tym przedstawicielem Judym nie był, **mimo swego proletarjackiego pochodzenia.** Bo nie pochodzenie tu decyduje, ale **klasowa świadomość.** Jeśli cała krytyka mieszczańska uznała Judyma za przedstawiciela proletarjatu, to zrobiła to nie bez kozery. Judym bowiem był wygodny dla tej krytyki. Był typem, który będąc namiastką radykalizmu, był równocześnie bliski mieszczaństwu, rozdwojony i pełen szlacheckiego pesymizmu, nie Okrzeją, ani Waryńskim, ani Kasprzakiem; nie był to **typ świadomego wodza mas,** tęgi charakter i żelazny, konsekwentny działacz, który musi zwyciężyć. Nie mówię o Joasi, chcę nawiązać do uwagi Millera na temat tekstu Żeromskiego o pochodzeniu Judyma, syna szewca z ulicy Ciepłej.

Cały tekst o paryskich zmartwieniach Judyma, o jego wstydzie spowodu pochodzenia wobec „pań z towarzystwa“, jeszcze raz odsłania bolesną słabość Żeromskiego — autor „Ludzi bezdomnych“ **nie znał innych** proletarjuszy, nawet w „Róży“! Nie rozumiał **w swych przeżyciach artystycznych** całej odrębności i inności „ludzi podziemnych“ od świata pani Niewadzkiej. Tak bowiem mogła się znaleźć pani Niewadzka wobec — księżnej de Rohan. **Judym w „Ludziach bezdomnych“ zachowuje się, myśli i działa jak szlachcic, któremu autor sfałszował rodowód i wywiódł go z rodziny szewca z ulicy Ciepłej.** Wszystkie jego gesty są szlacheckie, niema w jego rysach nic proletarjackiego ani chłopskiego.

Czy jednak Judym (bez ojca szewca) jest **prawdziwy?** Czy Żeromski uchwycił dobrze pewną rzeczywistość? I czy dał dobry portret pewnego typu „działacza społecznego“? Musimy podkreślić, że Żeromski, genjalny piewca drobnomieszczaństwa, dał w Judymie świetny portret „pewnego typu działacza“. Takich „działaczy“ z epoki Żeromskiego żyje dotąd dużo. Przeżyli swego piewcę i zatarli za sobą starannie ślady „bardzo bylejakich“ szewców z ulicy Ciepłej i wkupili się w towarzystwo pani Niewadzkiej i wespół z tem towarzystwem gnębią potomstwo innych szewców z ulicy Ciepłej, które, jak ich ojcowie przedtem, tak ono teraz walczy z paniami Niewadzkimi i nie myśli się wkupiać. Żeromski dał wspaniały portret takiego „działacza“, który zrywając nici ze swym ojcem, „bylejakim szewcem“, zrywając nici z klasą, z której wyszedł i której zawdzięczał życie, przeszedł na drugą stronę miasta, gdzie stoją wille Niewadzkich.

Ród Judymów nie zaginął i dzisiejsza biurokracja liczy bardzo wielu jego przedstawicieli. Miller zwrócił uwagę na rzecz ważną, jego uogólnienie jest naprawdę odkrywcze. Cała literatura polska czeka na swego proletarjackiego rewizora, który oczyści sprawę ze... złudzeń i fałszu i oceni praktycznie, ile korzyści i ile szkody przynosi sprawie ludowej zaniedbanie tej pracy.

Weźmy teraz sprawę drugą, sprawę Franka Rakoczego „W Roztokach“ Orkana. Czy tak, jak ród Judymów się rozrósł i gnębi Franków Rakoczych, czy i rodzina Rakoczych się powiększyła? Tak. Zwycięstwo Orkana jest pewne, choć jego Frankowie emigrować nieraz muszą z goryczą w duszy, to sprawa roztocka nie gaśnie. Wszystkie klęski, bóle i gorycze Franka, jego bolesne zawody i przyczyny jego niepowodzeń i rozczarowań — wzięli na siebie i przemyśleli następcy i jeśli muszą emigrować, zostawiają niemniej ofiarnych i tęgich towarzyszy. Sprawa Franka Rakoczego potężnieje, bo jest słuszna. To nie kontuszowy humanitaryzm Judymów, to sprawa istnienia, sprawa „być albo nie być“ całej Polski. Wzięli tę sprawę na siebie nie uciekający od swych ojców Judymowie, renegaci ludu, ale młode pokolenie twardych Rakoczych, które dotąd nie przestanie nękać Judymów, aż ostatni Judym stanie nad przepaścią pod rozdartą sosną, jak go uwiecznił Stefan Żeromski.

Marjan Czuchnowski

KORESPONDENCJA

POLEMIKA CZY DENUNCJACJA?

Do redaktora „Sygnałów“

Zastanawiałem się długo, nim zdecydowałem się na artykuł, poświęcony rzekomemu demokratyzmowi „Orki na Ugorze“, („Dziwny patron demokracji“, „Sygnały“, nr. 50). Dziś jestem głęboko przekonany, że postąpiłem słusznie.

W odpowiedzi na moją spokojną, na rzeczowym materjale opartą polemikę, Zbigniew Goliszewski („Dziwna „demokracja“ i straszni „demokraci“, „Orka na Ugorze“, nr. 11), uciekł się do wycieczek osobistych, poświęcając odpowiedź nie tyle napiętnowanej przeze mnie, jako niezgodnej z interesem naszego państwa, propagandzie wyprawy imperjalistycznej, ile raczej mojej dotychczasowej działalności polityczno-społecznej i literackiej. (Nazwisko moje powtarza się w „polemice“ z piętnaście razy).

„Pan Anselm — czytamy — jest pacyfistą, pacyfistą integralnym. Jest także nieszczęsnym rodzicem pewnego dziełka pornograficznego o tendencjach skrajnie radykalnych, czy też radykalnego o tendencjach pornograficznych. Nieszczęsnym, — bo dziełko uległo konfiskacie, a p. Anselm ma odtąd dyplom na „demokratycznego“... (dalszy ciąg zdania naskutek niedbałej korekty jest bez sensu — przyp. mój). Ba, nawet czuje się zdolnym do wydawania patentów na demokratyczność“.

Najpierw o mojej rzekomej „radykalnej pornografji“ Wielbię purytańską „skromność“ obiecującego młodzieńca z „Orki“, ale zarazem nie zdobędę się na potępienie „wyuzdanych upodobań“ senatorki Reginy Fleszarowej, która zgłaszając w senacie interpelację w sprawie konfiskaty mojej powieści („Klepsydry“), stwierdziła, że... (cytuję z diarjusza) „tego rodzaju konfiskaty przynoszą szkodę naszej kulturze“. Czyżby kultura w opinji sen. Fleszarowej, przewodniczącej Rady Narodowej Polek, była synonimem „pornografji“?

Nie dziwimy się „Orce“. Wczoraj pasowała Petlurę, z którego nazwiskiem zrosły się pogromy i rzezie mas żydowskiego proletarjatu, na patrona polskiej demokracji, dziś, solidaryzując się z urzędem cenzury, degraduje (przez swoje cytowane wyżej stwierdzenie) sen. Fleszarową do poziomu obrończyni „dziełek“ o tendencjach „pornograficznych“.

Nie będę cytował opinji, jaką o „Klepsydrach“ wydali Juljan Tuwim, sen. Michałowicz, czy wreszcie — z młodszej generacji — Edward Szymański. Wobec konfiskaty książki, która i tak nie trafi do szerszego grona czytelników, jest to zupełnie zbędne. Nie złagodzi to wyroku sądowego, zatwierdzającego konfiskatę, jak nie zaostrzy go również podjudzające chichotanie i zacieranie rączek „demokraty“ z „Orki“. Sprawa jest przesądzona.

Praktykowana przez „Orkę“ metoda dyskwalifikowania cudzej, skonfiskowanej pracy przypomina kopanie butem (takim, jaki widzimy w karykaturze na ostatniej stronicy tego pisma) człowieka ze związanemi rękami. „Orka“ „pomyliła się widocznie co do szerokości geograficznej“, nie zdając sobie sprawy, że metody napiętnowane przez Malraux w „Czasach pogardy“ nie znajdą nigdy aprobaty wśród polskiej demokracji.

I jeszcze jedna (ostatnia) uwaga w związku z wycieczkami osobistemi: do wydawania sądu w sprawie przynależności czy też nieprzynależności do obozu demokracji upoważniła mnie nie skonfiskowana powieść, lecz długoletnia i ścisła współpraca ze wszystkiemi szczerze demokratycznemi ugrupowaniami. Gdy występowałem jako demokrata, autor artykułu, który raczył udzielić mi „poglądowej“ lekcji swoiście interpretowanej demokracji, paradował zapewne w mundurku szkolnym. Za wszystko, co czyniłem i czynię, gotów jestem w każdej chwili ponieść odpowiedzialność. Nie będę się natomiast uczył demokracji z 11 numerów „Orki“ i dostosowywał swych poglądów do jej konjukturalnego programu.

Jako członek zarządu i kierownik propagandy młodych Klubu Demokratycznego w Warszawie, uważałem za swój obowiązek przestrzec demokrację przed niebezpiecznem i niepożądanem „kukułczem pisklęciem“.

Przechodzę do meritum sprawy.

„Orka“ robi mi zarzut, że zwracam uwagę „komu potrzeba“, iż artykuł o Petlurze nadaje się do wytoczenia „procesu o obrazę pamięci marszałka Piłsudskiego“. Nikt chyba naserjo nie uwierzy, że stawiając „Orkę“ na jednej płaszczyźnie z ozonowym „Kurjerem Porannym“, mogłem poważnie traktować możliwość wytoczenia jej jakiegokolwiek procesu. Była to zwykła złośliwostka, może nawet ze względu na ogólny ton artykułu zbędna, ale jakże blada i niewinna w zestawieniu z tem, czego dopuszcza się „Orka“ w stosunku do mnie, zarzucając mi działalność w myśl instrukcyj, znajdujących swoje dyspozycje poza granicami państwa.

„Dziwna to międzynarodówka, rzekomo demokratyczna, mobilizująca opinję świata w obronie imperjalizmu moskiewskiego. Ma rację p. Anselm. Nie należymy widocznie do tego samego obozu demokratycznego, co on“.

Nietrudno wyczuć, co kryje się między wierszami publicysty demokratycznej (?!) „Orki“. Tego stylu, który nie mówi nic i mówi wszystko, tego precyzyjnego wskazywania paluszkiem, tego misternego nizania słówek, które nie nazywają rzeczy po imieniu, a równocześnie rzucają cień podejrzenia, nie powstydziłby się ani „Mały Dziennik“, ani wileńskie „Słowo“, ani sam „Merkurjusz Ordynaryjny“. v

I wreszcie trzecia sprawa: za kolumnę ukraińską redakcja „Orki“ nie ponosi odpowiedzialności; przynajmniej zastrzegła się w tej sprawie na samym wstępie, przy nawiązywaniu kontaktu z ukraińskimi nacjonalistami. Naszem zdaniem stanowisko „Orki“, zwłaszcza w zestawieniu ze skandaliczną tendencją cytowanych w nr. 50 „Sygnałów“ prac, jest poprostu śmieszne. Jeżeli bowiem przyjmiemy taką metodę pracy redakcyjnej, to wkrótce n. p. Bolesław Piasecki będzie na łamach „Sygnałów“ (też na zasadzie autonomji) omawiał „palącą“ sprawę ghetta ławkowego w freblówkach i szkołach powszechnych.

Stanowisko „Orki“, której współpracownik przerasta ramy zawodu dziennikarskiego i usiłuje swemi amatorskiemi denuncjacjami pozbawić chleba zawodowych, płatnych konfidentów, stawia to pismo poza uczciwą i szczerze demokratyczną prasę.

Konstanty Anselm (Warszawa)

*

G. M. Falenica. Pod inicjałami i anonimowo nie możemy listu umieścić; sprawa wyglądałaby niepoważnie. Uważamy, że należy raczej zrezygnować z ogłoszenia listu.

St. R. Rad. Chętnie fragment umieścimy, ale może otrzymamy większy wybór, abyśmy mogli sami zadecydować.

Młody robotnik. Warszawa. Wiersz ma charakter okolicznościowy, jest odpowiedni do dziennika na dzień 1 maja. Posiada jednak błędy językowe i stylistyczne. Warto przeczytać, jak pisze na podobne tematy n. p. Broniewski. Zasyłamy pozdrowienia.

J. Sam. Warszawa. Wiersze nie będą drukowane.

NOWE WIERSZE

Stefan Napierski. Chmura na czole. Warszawa, Bibljoteka „Ateneum“, nr. 3, 1938; str. 82 i 6 nl.

Nurt inspiracyjny poezji Napierskiego uwarunkowany jest swoistemi dyspozycjami eklektycznej konstytucji lirycznej poety. Eklektyzm Napierskiego bywał nagół dość mylnie interpretowany. Duża chłonność i rozpiętość wrażeń, a więc pejzaż, podróże, a przedewszystkiem lektura są jedynie pretekstami do rozbudowy lirycznej poetyckich widzeń. Stąd różnorodność gatunków poetyckich w omawianym tomie, nie pozwalająca na dokładniejsze zdefinjowanie właściwości lirycznych Napierskiego. Swoiście pojęty neoklasycyzm, wykazujący duże pokrewieństwo z Iwaszkiewiczem, splata się z rokokowemi pejzażami o kolorycie Watteau czy Bouchera oraz z sielankowemi obrazami, przypominającemi takich romantyków niemieckich, jak Eichendorff czy Lenau. To wszystko, jeżeli chodzi o wyklarowanie formalne, odznacza się daleko posuniętą subjektywizacją przenośni i obrazowania, co świadczy o rezonowaniu autora na współczesne prądy poetyckie, o jego regeneracji, a co zatem idzie, o rozwoju poetyckim. Dla czytelnika wiersze te są trudne, czasami nużące przez swoją monotonję, a uważniejszemu i cierpliwszemu czytelnikowi uda się dostrzec rozbieżność między równorodnością pretekstów lirycznych a ich zbyt jednostajnem uzewnętrznieniem, zbyt oschłem może i zbyt często stylizowanem, co zresztą czasami daje pozytywne rezultaty, jak np. w wierszu „Dawna idylla“.

Sentymentalizm, przypominający czasem Tuwima, sielskość i refleksyjność składają się na monotonną, ale sumienną całość. A przytem mimo pozornego stonowania, wyczuwa się niepokój i twórcze poszukiwanie, o czem świadczy dobitnie wiersz p. t. „Niewiara“:

„Jeśli szczęście jest uścisk, nagły skurcz miłosny, to znam je nadto dobrze; ów gest przyzwolenia, by drzewa obojętnie w noc bezsenną rosły, a żądzy tej nie było nigdy nasycenia, lecz jeżeli to słowo spokój serca znaczy i prawo nad planetą, które nas przerasta? — jak w czeluść potępiony powracam w mrok miasta i wiem, że tej niewiary nikt mi nie wybaczy“.

Juljusz Wit. Wam. Okładkę projektowała **Ela R.,** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1938; str. 45 i 3 nl.

„Człowiek jest celem“. Czwarty tom Juljusza Wita przynosi wiersze spod szlachetnego znaku humanizmu socjalistycznego. Juljusz Wit, wywodzący się genealogicznie ze szkoły awangardy krakowskiej, jest jednym z tych nielicznych poetów awangardowych, którzy nie uznają poetyki awangardowej jedynie jako środka formalnego uzewnętrznień poetyckich, ale wiążą pojęcie awangardy poetyckiej z pojęciem awangardy społecznej. Ta postawa widoczna jest na przestrzeni całego tomu. Niestety, realizacja postulatów poetycko-społecznych spotyka na liczne przeszkody nieskoordynowanej organizacji lirycznej poety. Indywidualność poetycka Wita znajduje się pod auspicjami Przybosia, czasami Peipera, Brzękowskiego, jeżeli chodzi o asocjacjonizm aliteracyjny, oraz wykazuje pokrewieństwo z gatunkiem poetyckim nadrealistów francuskich. To ostatnie pokrewieństwo występuje u Wita szczególnie wyraźnie w momentach narastania asocjacyjnego wizyj. Niewątpliwa pasja i zbyt silny impuls liryczny prowadzą często na manowce i nie osiągają punktu kulminacyjnego. Przyczyną tego są zapewne zbyt daleko idące rozgałęzienia oraz werbalizm, szkodzący poważnie kondensacji obrazowej utworów. Niemal każdy wiersz tomu mógłby być z powodzeniem krótszy, co przyczyniłoby się wydatnie do uwypuklenia postulatów poetyckich Wita. W ten sposób wiersze o bardzo szlachetnym wydźwięku zarówno poetyckim, jak i społecznym, tracą swój walor emocjonalny, stając się chwiejną kompozycją, wiodącą zbyt długo do punktu kulminacyjnego wiersza, aby utrzymać się mogło nasilenie poetyckie wizyj, o które przecież autorowi chodzi.

Na dobro poety należy zapisać dużą wrażliwość i kulturę plastyczną, wynikającą z najlepszego wiersza tomu o Van Goghu: „Człowiek z uciętem uchem“.

Sympatycznemu i utalentowanemu autorowi „Wam“ należałoby życzyć większej kondensacji lirycznej i wyzwolenia się spod ciążących nad nim wpływów (np. kopjowanie peiperowskiego systemu rozkwitania w wierszu „Pieśń fabryk“), oraz bardziej krytycznego stosunku do asocjacjonizmu aliteracyjnego, przechodzącego czasem w „mirohładyzm“.

Jerzy Kamil Weintraub

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK **Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6.**